



ROK LVIII

PRZEGŁĄD TYGODNIOWY ILLUSTROWANY DLA KOBIEK

NR 10

WARSZAWA, 7 MARCA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Życie nas wyprzedza—H. Ceysingerówna. Szkolnictwo zawodowe u nas—C. W. Dągnoza—Z. Zawiszanka. Listy z drugiej półkuli—Jadwiga Marcinowska. Ziunia Pawłowska (dzieciństwo Orzeszkowej) dok—K. L. Krzewski. Gdy umrę...—Christina G. Rossetti (tłum. M. Wolska). Pantofelek (bajeczka prawdziwa)—Paweł Winikowiecki. Wędrowki Dżerdzelesa, tłum. z serbsko-chorwackiego—M. Zn. Szczepańska. Mniszka z Monzy (c. d.)—K. Bielańska. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Strzałki—Wanda Jacobson Skrodzka. Z książek—1) Z. Szmydtowa; 2) M. D. Z Teatrów—p. Rozwiązanie rebusu Gamastona. Z Ruchu Wydawniczego. Trawniki—Stan. Schönfeld. Najmodniejsze ozdabianie sukien. Karnawał dziecinny—Hrabina Annie. Ozdabianie naszych mieszkań i balkonów—J. S. Korespondencje działu praktycznego. Przepisy gospodarskie—Pani Elżbieta. Dobre rady. Nadesłane do Redakcji. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy 1) „Biały Paw”—powieść Henry Bordeaux—autoryzowany przekład M. Domańskiej, 2) „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu” (ciąg dalszy). Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

ŻYCIE NAS WYPRZEDZA

Żeromski w „Przedwiośniu”, a raczej nie Żeromski, a ustami jego mówi jeden z cichych, zapoznawanych, zjadliwymi docinkami feljetonistów wszelakiego pokroju smaganych ustawicznie budowniczych Państwa Polskiego mówi, że największe i najbardziej przezeń ukochane postacie przeszłości porzobiorowej są mu „drogowskazem, czem już w tych nowoczesnych dniach naszych być nie należy”.

Pozorny paradoks ten jest właściwie doskonałą praktyczną wskazówką, oczywiście pod warunkiem, żeby nie stosować go literalnie.

Trudno nam ludziom dawniejszym, przystosować się do nowych warunków życia, mimo właściwej Polakom giętkości psychicznej, mimo, że niektórzy z nas nigdy z myśli swych nie wykluczali możliwości samoistnego, państwowego bytu Polski, że się z tą możliwością liczyli, że starali się chronić psychikę swą przed sposobem myślenia i czucia właściwymi niewolnikom,

że o rzeczy publicznej starali się myśleć kategoriami państwowemi. Zbyt głęboko w ręce i w nogi wrosły nam kajdany; przycinane stale lotki skrzydeł nie odrastają każdej wiosny i do szerokich i wysokich lotów nie sposobią ptaka, wychodowanego na podwórku niewoli.

Z niezaprzeczonego faktu tego wynika wiele smutnych objawów, o które się wszyscy wzajem oskarżamy, przypisując winę jedni drugim, a nie rozumiejąc, że wszyscy jesteśmy winni, a raczej nie tyle winni, ile upośledzeni.

Jednakże samo uświadomienie sobie, że dziś „uczucie, wiara, męstwo, musi być wdrożone w pracę, w czyny, w znajomość rzeczywistych stosunków i rzeczywistych ludzi, — i, co jest rzeczą najtrudniejszą — w sposób rządzenia życiem, stosunkami i ludźmi realnymi”, już to samo może być dla niektórych przynajmniej na upośledzenie to — lekiem.

Pomijając ogólniejsze i szersze dziedziny, chcę mówić w tej chwili

tylko o stowarzyszeniach kobiecych.

Zrodzone, niemal wszystkie, w okresie niewoli, lub w okresie wojny, z jakąż trudnością naginają się do wymagań współczesnego życia!

Gdyby można było przy pomocy potężnej jakiejś wyobraźni stworzyć ich jednopostaciowe uosobienia, lub przy pomocy magii nadać kształt materialny zbiorowym ich duszom, ujrzelibyśmy szereg postaci przygnębionych, niepewnych, trwożliwych, nacechowanych często beznadziejną martwością, a uporczywie trzymających się starych form, starych metod, lękających się przypływu świeżego powietrza, nowych ludzi, nowych sposobów działania, nowych idei.

Niektóre z tych postaci otwarcie przyznają, że nie chcą dopływu nowych sił bo to wpłynęłoby na zmianę ich fizjonomji, duchowej, a nie rozumieją, że z tą steraną maską mumji, albo smutną, zbolalą twarzą Grotgerowskiej wdowy,

nie można być czynnikiem odrodzenia narodu, nie można rządzić życiem.

A przecież to winno być najwyższą ambicją współczesnej kobiety polskiej.

Przyzwyczajenie do robienia wszystkiego na małą skalę, upodobnianie się do kropli powolnie zło-biącej skalę, cofanie przed każdym śmielszym krokiem, niemożność spojrzenia śmiałego w oczy tym wszystkim szczęśliwym możliwościom, jakie otwiera przed nami niezależny byt państwowy i uzyskane równouprawnienie polityczne — wszystko to są nieszczęsne skutki i nałogi tego pół życia, a pół-śmierci, z którego wielu z nas już wstać się nie spodziewało.

Wszystko to sprawia, że dzisiejsze organizacje kobiece w Polsce nie odpowiadają wymaganiom życia, nie dorastają do jego skali, do jego rozpędu i coraz bardziej wzrastającego rozmachu. Życie nas wyprzedza.

I dlatego konieczną jest reforma i koniecznym podział na specjalności. Albowiem wszystkie stowarzyszenia kobiece, jakiegokolwiek noszą nazwy, wszystkie prawie robią jedno i to samo.

Pochodzi to z owych dawnych nałogów. Ogi każda „kropla, zło-biąca skalę“, miała jednak preten-sję, by być „rządem moralnym“ pozbawionemu własnego rządu społeczeństwu. I dlatego dążyła do ogarnięcia jaknajszerszych dziedzin życia. I oto dziś widzimy, że wszystkie towarzystwa i związki kobiece zakładają instytucje oświatowe, wszystkie organizują bankrutujące zresztą sklepiki, — czy to w imię tworzenia placówek handlu polskiego, czy w imię dostarczenia pracy kobietom, czy w celach dochodowych, — wszystkie zajmują się zawodowym kształceniem kobiet, pośrednictwem w pracy, wszystkie opieką nad matkami i dziećmi, wszystkie starają się wywrzeć swój wpływ na życie duchowe narodu, przeniknąć w sferę kultury, obyczaju, polityki itd. itd.

Rezultat jednak tych zabiegów jest niesłychanie znikomy, znikomy w zestawieniu z wynikami prac stowarzyszeń kobiecych w Anglii, Ameryce, znikomy w zestawieniu

z pracą czynników państwowych w Polsce w tych samych dziedzinach (n. p. kształcenie zawodowe kobiet).

W ostatnich miesiącach zauważyć można pewne ożywienie w organizacjach kobiecych i coś jakby oglądanie się za nowym programem, jakby szukanie nowych dróg i dlatego uwagi tu wypowiedziane będą może na czasie, może posłużą choćby za materiał i za wstęp do dyskusji.

Dwoma łożyskami, zdaniem mo-jem, popłynąć powinna praca organizacji kobiecych; jedno musi być negatywne, drugie — twórcze.

Potrzebna nam jest wielka, po-tężna organizacja zwalczania chorób społecznych: nierządu, alkoholizmu, żebractwa. Odpowiednie sekcje i podsekcje, które ogarnęły z narkotykami, pornografię, handlem żywym towarem itd. itd., złożone z osób wyspecjalizowanych w danym dziale, obeznanych dokładnie z metodami walki, a stosowanymi za granicą, funkcjonować powinny w każdej miejscinie i każdej wiosce polskiej. Wtedy dopiero mówićby można, o jakiegokolwiek skuteczności tej akcji. To, co się dziś robi w tym względzie, właściwie równa się zeru.

Ale do tego potrzeba nowych ludzi, potrzeba silnego odrodzenio-wego prądu, potrzeba wiedzy, studjów, podróży zagranicę. Domo-wymi sposobami, dłubaniną, zaspakajającą może sumienia jednostek, ale w ogólnym rachunku społecznym będącą prawie bez znaczenia nic poważnego zdziałać dziś nie można.

Nie można też liczyć na pracę niewynagrodzoną pieniężnie, t. zw. honorową. Nowe warunki życia, absorbujące siły ludzkie w zarobkowym wyścigu, bardzo wielu jednostkom pozwalają na ra-dosny zbytek bezpłatnej pracy dla społeczeństwa. To też tylko te organizacje, które zaczynają już wchodzić na drogę posługiwania się płatnymi funkcjonariuszkami, przedstawić mogą pewną sumę wy-konanej pracy. Inne wegetują i rozkładają się w powodzi czczych lamentów.

Punkt ten stosować się będzie do wszystkich stowarzyszeń, jakie tutaj projektujemy.

Drugą organizacją twórczego już typu byłby związek czy stowarzy-szenie, któreby wzięło sobie za za-danie realizację ustaw, dotyczą-cych równouprawnienia kobiet. Tu całkiem inny typ umysłów i tem-peramentów byłby pożądany, niż w stowarzyszeniu poprzednim, inny też rodzaj fachowego przygotowa-nia. Prawniczki, polityczki muszą sprawę tę wziąć w swoje ręce.

Pierwszorzędną rolę odegraćby powinno towarzystwo opieki nad matką i dzieckiem. Jest w Polsce niesłychanie wiele do zrobienia w tej sprawie. Propaganda racjo-nalnego wychowania niemowląt, szkoły pielęgniarek, czy wychowaw-czyń, krople mleka, żłobki, siero-cińce, prawodawstwo, dotyczące dzieci nieślubnych i t. d. i t. d. ca-łe morze do wypicia. I tu, jak wszędzie, trzeba specjalnego przy-gotowania, wiedzy, znajomości rze-czy.

Tow. Zawodowego kształcenia kobiet miałyby za zadanie współ-działać na tem polu z instytucjami pań-stwowymi i samorządowymi po-pełniać braki tychże, pomagać i ułatwiać młodzieży żeńskiej zdo-bycie fachowego przygotowania do życia, tworzyć biura pośrednictwa pracy i t. p.

Tow. fizycznego wychowania ko-biet jest jedną z najpotrzebniej-szych na dziś organizacji kobiecych. Odnosi się wrażenie, że Koło Po-lek posiada pewne dane na wys-pieczalizowanie się w tym kierunku.

Poza tem powstać powinno Tow. klubów kobiecych, jako og-nisk, szerzących kulturę towarzy-ską i społeczną.

W tych kilku towarzystwach, spec-jalnie oddanych pewnym zadaniom skupićby się powinno życie stowa-rzyszeniowe kobiet, oczywiście po-za związkami zawodowymi, które jednak przeważnie łączą i łączyć będą mężczyzn i kobiety w jedną organizację zawodową.

Wszelką inną pracę społeczną mogą i powinny wykonywać sto-warzyszenia mieszane. Niema bo-wiem żadnej słusznej racji tworzenia

wyłącznie kobiecych kół oświatowych, lub kół o charakterze ekonomicznym, czy praktycznym.

Natomiast tam, gdzie wchodzi w grę interesy specjalnie kobiece doniosłego znaczenia ze względów ogólnego dobra narodu i Państwa, a lekceważone, lub niedocenione przez mężczyzn — tam dziś jeszcze tworzyć należy organizacje wyłącznie kobiece, To samo uczynić

trzeba, gdy chodzi o walkę z chorobami społecznymi.

Tu kobieta jako zdrowsza moralnie, wystąpić powinna w roli lekarki.

Odrzucić jednak w każdym razie należy zarówno przestarzałe formy organizacyjne jak i ułomne, na dzisiejszą chwilę niedostateczne, metody pracy. Przebudzonemi, szeroko otwartymi oczami spojrzeć po-

trzeba na życie współczesne. Pamiętać winniśmy, że dziś, jak nigdy prawdą są słowa wieszczki: „Honor myślom, w których błyska nowy duch i forma nowa!” Kto czuje się już niezdolnym do serdecznego, a mądrego spojrzenia w oblicze współczesności, niechaj raczej dobrowolnie ustąpi, nim zmiecie go z szumem idąca naprzód fala nowego życia,

SZKOLNICTWO ZAWODOWE U NAS

IV

SZKOŁY GOSPODARSTWA DOMOWEGO. SZKOŁY I KURSY DLA SŁUŻBY DOMOWEJ. SZKOŁY DLA WŁOŚCIAN.

Jak wszystkie Szkoły zawodowe wogóle, tak i szkoły gospodarstwa domowego w b. Królestwie Polskiem były zakładane i prowadzone przez osoby prywatne. Tylko wykazywanie dochodów usprawiedliwiała w obec rządu rosyjskiego ich istnienie. Tak powstała najpierw szkoła pani Marji Norkowskiej (Bracka 18), wzorowana na szkole berlińskiej Zette verein z przeznaczeniem zarówno dla inteligentek, jak i dla służących. W pierwszych latach wojny, kiedy utrzymanie służby domowej stało się dla większości zarobkującej naszej inteligencji niedostępne ze względu na wzrastającą wciąż drożyznę a bardzo uszczuplone dochody, zakład pani N. liczył wśród uczenic przeważnie panie same, zmuszone stanąć przy kuchni, żeby gotować dla całego domu, a w najlepszym razie prowadzić stołownię dochodową. Liczba uczennic — służących uległa znacznemu zmniejszeniu, co zresztą wpłynęło na wzmoczenie intensywności nauczania.

Dla córek obywateli ziemskich przeważnie została założona w 1891 roku. Szkoła gospodarcza hr. Plater Zyberk w Chyliczkach pod Warszawą, przekształcona w 1908 r. na Wyższą Szkołę Gospodarczą z kursem dwuletnim. Po skończeniu jej 3% uczennic pracuje w szkołach gospodarczych różnych typów jako instruktorki.

W Wielkopolsce pod b. rządami Prusaków nie tylko zabraniano otwierać szkół nawet wyłącznie zawodowych, ale zamykano te nielicz-

ne, które istniały jak np. p. Szczerbińskiej w Śremie. Wobec takich obostrzeń prowadzono potajemne szkoły gospodarcze po dworach prywatnych. W okresie niewoli istniało takich szkół kilka, lecz bez ustalonego programu. Z dwóch szkół jawnych, jakie wywalczyły s. b. prawo bytu — jedna — Szkoła gospodarcza p. Kierskiej w Gnieźnie, uległa zawieszeniu skutkiem trudności wojennych, druga — dobrze zorganizowana Szkoła gospodarstwa domowego dla małorolnych w Nietęskoku wietrwała dotąd. W ostatnich czasach otwarto w Wielkopolsce sześć szkół przemysłowo-gospodarczych.

Małopolska w okresie niewoli wyprzedziła na polu szkolnictwa zarówno zawodowego, jak i ogólnego inne dzielnice Polski. W Kuźnicach powstała najdawniejza Szkoła Gospodarstwa domowego, założona przez generałową Zamojską dla dziewcząt ze wszystkich warstw społecznych w 1882 r. Do bardzo wybitnych zakładów tego typu należy Szkoła gospodarstwa domowego i gotowania w Krakowie na Pędzichowie założona dla służących i inteligentek w 1910 r., upaństwowiona w 1920 roku z prawami szkół publicznych i kursem jednorocznym. Warunek przyjęcia lat 14 i świadectwo z ukończenia szkoły powszechnej.

We Lwowie zamknięto podczas wojny z powodu braku produktów i środków opałowców dwie szkoły gospodarcze i przy szkole św. Jędrzei oraz przy szkole p. Tańskiej. Wojna przeszkodziła również utworzeniu zaprojektowanych kursów gospodarczych w czterech zakładach wychowawczych sióstr Niepokalank w Małopolsce.

Pierwsza myśl wprowadzenia nauki gotowania i prac domowych w szkole powszechnej powstała — przed wojną jeszcze w Małopolsce. Dla zrealizowania jej przystąpiono przede wszystkim do stworzenia seminarjów, mających na celu kształcenie nauczycielek i instruktorek gospodarstwa dom. W 1910 r. zostało założone Seminarjum przy miejskiej Szkole gospod. dom. w Krakowie na Pędzichowie z kursem trzyletnim, przyczem nauczycielki wykwalifikowane po złożeniu egzaminów z zajęć praktycznych mogły być przyjmowane od razu na kurs II. Seminarjum to zostało przeniesione obecnie na ul. Syrokomli i włączone jako poszczególny oddział w skład Państwowej Szkoły Zawodowej żeńskiej.

W 1913 r. powstało i istnieje dotąd Seminarjum gospodarcze z internatem na przedmieście Lwowa w Snopkowie, założone i utrzymywane przez T-wo gospodarczego wykształcenia kobiet. Kurs dwuletni. Wymagany egzamin dojrzałości. Wykłady teoretyczne obok zajęć praktycznych. Liczba uczennic w ciągu wojny nie tylko nie zmniejszyła się, ale nawet wzrosła. Po skończeniu najzdolniejsze otrzymują natychmiast posady. Reszta odbywa jeszcze praktykę.

Seminarjum obejmuje dział: ogrodnictwa, gospodarstwa i robót ręcznych.

Pierwsze Państwowe Seminarjum dla nauczycielek gospodarstwa domowego w Warszawie zostało otworzone w październiku 1918 r. Celem jego dostarczanie instruktorek rządowym, prywatnym i miejskim szkołom gospodarstwa domowego, przeznaczonym dla kształcenia w tej dziedzinie uczennic wyższych klas szkół powszechnych, których siecią

postanowiło Ministerstwo Oświaty opasać kraj cały.

W ciągu ostatnich lat paru powstało wreszcie pierwsze Seminarjum gospodarstwa na terenie Wielkopolski. Otworzyła je Matka Ledóchowska w Pniewach (Woj. Poznańskie). Warunki przyjęcia 6 klas Szkoły średniej i 16 lat skończonych.

Po wyzwoleniu Polski powstał specjalny typ szkół gospodarstwa domowego, mających na celu wdrożenie do zajęć gospodarczych wszystkich uczennic, kończących szkoły powszechne. W tym celu dziewczęta z VI i VII oddziału przychodzą dwa razy tygodniowo do najbliższej w danym okręgu szkoły gospodarczej i tam podzielone na grupy, uczą się praktycznie i teoretycznie wszystkich zajęć domowych, od sprzątanía, gotowania, szycia, reperacji aż do prowadzenia ksiąg rachunkowych. *)

Do tej pory powstało szkół tego typu: trzy w Warszawie (Chłodna 27, Solec 46, Żłota 41), jedna w Częstochowie (III Aleja 58), jedna w Płocku przy 7-mio oddziałowej szkole żeńskiej, po jednej w Łodzi (Radwańska 42), Grudziądzu i Krotoszynie.

* * *

Szkół dla służby domowej w ścisłym znaczeniu tego słowa niema u nas prawie wcale. Szkolnictwo dla służby domowej nawet w krajach o wysokiej kulturze rozwijało się bardzo powoli, tak że do niedawna jeszcze jedynym wykształceniem była praktyka po domach prywatnych.

W Niemczech, które po za Szwajcarią przodowały zawsze w dziedzinie szkolnictwa zawodowego, szkoły dla służących były prowadzone początkowo przez diakonissy (np. szkoła Tröbel—Oberlin vereins, w Berlinie), lub też miały charakter i rygor klasztorno-wojskowy. W szkole berlińskiego „Amalienhaus” jeszcze kilkanaście lat temu nie wolno było uczennicom skarżyć się ani uzalać w listach do krewnych: groziło za to bicie po twarzy. Wychowanki mogły wychodzić raz tylko na 4 tygodnie. Pracowały codzień do 11 w., a w niedzielę i święta do 9 w.²⁾ Do pierwszych organizacji niemieckich, które zajęły się wykształceniem służących, należała t. zw. „Komisja dla kształcenia służby dom. żeńskiej”, która powstała najpierw w Monachjum, następnie w Badeńskiem, we Fryburgu i t. d. Zarząd jej składał się obojętnie z 4 pań szlachcianek i 6 mieszczek. Zadaniem jej było rozmieszczanie dziewcząt

w wieku od 14-stu do 16-stu lat na naukę u rodzin średnio-zamożnych, gdzie obok całkowitego utrzymania i mieszkania, otrzymywały pensję na drobne wydatki, ściśle kontrolowane.

Jak dalece nie uważano za konieczne otwierania szkół dla służby dom., dowodem Anglija, gdzie w 1914 r. było zaledwie 10 szkół, a w tem — tylko 4 w Londynie. Ogólna liczba uczennic zaś wynosiła 350 na 1½ miliona służby dom. wykazanej w spisie z 1911 r.

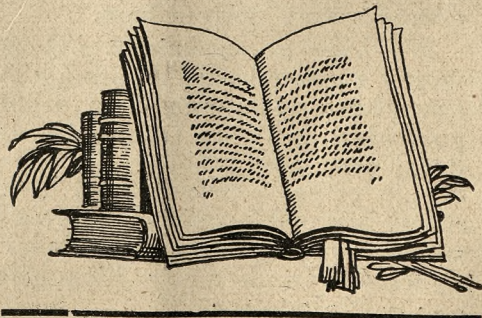
Na jednym z kongresów kobiecych w Londynie, na którym poruszono, między innymi, sprawę kształcenia służby i na którym zapadły uchwały otwierania szkół specjalnie dla tej kategorii pracowników, zabrała głos amerykanka, mrs. Susan Young-Gates, domagająca się wykształcenia zarówno pań, jak i sług, z jednakowym kursem dla obu kategorii, bo „dzisiejsza sługa może być panią jutro”. Poza tem wykształcona pracodawczyni, rozumiejąc, ile nakładu sił i uwagi wymaga każda najprostrza robota, staje się niewątpliwie wyrozumiała na wszystkie uchybienia pracowników.

Projekt amerykanki natrafił na chwilę, w której potrzeba wykształcenia inteligentek w gospodarstwie domowym dawała się odczuwać w różnych krajach równocześnie. Jak w połowie 19 w. powstał ruch w kierunku stworzenia ustawodawstwa dla służby dom. tak w końcu tegoż wieku zapoczątkowano otwieranie szkół gospodarstwa dom., w których równocześnie z inteligentkami, kształciły się i służące.

Pierwszym zakładem tego typu u nas, była szkoła p. Marty Norowskiej w Warszawie. Szkoła gospodarcza w Krakowie na Pędzichowie również początkowo przeznaczona była dla służby i dla pań.

*) Szczegółowy i entuzjastyczny opis jednej z takich szkół, mianowicie—Państw. Szkoły Gosp. dom. na Solcu został pomieszczony w Nr. 43 Bluszczy z 1924 r.

2) Dr. Oscar Stillich „Die Lage der weiblichen Dienstboten in Berlin“



To wszystko. Przez jakiś czas istniała w Warszawie szkoła dla sług im. św. Kingi — z małym hotelikiem prowadzona przez p. Jądwigę Kuczyńską. Dla braku środków—mimo wzorowego kierunku—została zamknięta. Poza tem istnieją dla służby żeńskiej obecnie tylko Kursy Praktyczne przy stowarzyszeniach i związkach służby dom., zakładanych we wszystkich większych miastach Polski. W Warszawie najważniejsze z nich — przy Stow. Opieki nad dziewczętami, pod wezwaniem św. Józefa (na Sewernym) i przy Stow. Sług Katolickich (Kredytowa 14). Obie te instytucje, jak w ogóle większość stowarzyszeń i związków służby dom., prowadzą stołownie dochodowe, przy których praktykują kandydatki na przyszłe kucharki.

Na służące, klucznicę i praczkę kształcą się dziewczęta teoretycznie i praktycznie w Drohowyżu w szkole przy zakładzie sierot i ubogich fundacji Stanisława hr. Skarbka, istniejącej od 1875 r. Na służące wyłącznie kształcą wychowanki swoje. Stow. Ochrony i wychowania dziewcząt w Stanisławowie.

Jak widzimy, kształcenie i wychowanie służby domowej jest w wielkim zaniechaniu u nas. Sprawę tę winny wziąć pod uwagę co ruchliwsze organizacje nasze, kobiece i zająć się tym odłamem pracowników, napływającym do miast zwykłe z dalekiej, głuchej prowincji, bez jakiegokolwiek pojęcia o pańskiej robocie i ograniczonego nieraz latami całymi do roli popychadła, zanim zdobędzie jakieś pewniejsze podstawy zawodowego wyćwiczenia i — co za tem idzie — lepsze warunki bytu.

* * *

Spółczeństwo nasze ze szczególną troskliwością myślało zawsze o szkołach gospodarstwa dla małorolnych. Jeszcze za czasów niewoli było parę żeńskich pod zaborem rosyjskim, jedna—Nietęzkowska w Wielkopolsce i kilka w Małopolsce. Obecnie dzięki wydziałowi Oświatowemu Ministerstwa Rolnictwa, które postanowiło otoczyć siecią uczelni tego typu kraj cały—liczba szkół gospodarczych dla włościanek—wszystkie z internatami—wzrosła do 23. Z tych jedna z kursem dwuletnim i oddziałem dla szafarek (Umieliny woj. Warszawskie), trzy roczne państwowe i 18 rocznych społecznych. Poza tem jedna—dwuletnia — rzemieślniczo-gospodarcza w Marjówce ziem. Radomskiej.

C. W.

D J A G N O Z A

Jeśli można przyrównać naród do organizmu, to dusze ludzkie, zależnie od swej jakości, muszą reprezentować — w przybliżeniu — różne tego organizmu części i funkcje. Pracowników fizycznych nazwałoby trzeba mięśniami zbiorowości; umysłowych, zwłaszcza wybitnych — jej komórkami mózgowymi. Ci zaś, co wyczuwają najgłębiej potrzeby ojczyzny, kierunek jej rozwoju, co najintensywniej współżyją z jej wielką duszą — to serce narodu.

Bez niego żadne społeczeństwo, tak, jak żaden organizm, żyć ani chwili nie może. Naturalne jego funkcjonowanie jest niezbędnym warunkiem zdrowia i bytu całości.

Przemawiając językiem tych pojęć, stawiam tezę, podobną do przenośni: naród polski, któremu serce musiało dawniej zastępować wiele innych, sztucznie okaleczonych organów, zaczyna obecnie popadać w chorobę sercową.

D diagnoza szczegółowa?: może jestto ogólne znużenie, wywołane właśnie przemęczeniem...

Za czasów niewoli różne bywały okresy: czasem genjusz narodowy wybuchał takim bogactwem świetnych i natchnionych jednostek, jak po powstaniu 1831 r. — czasem zniczył ten święty przechowywała tylko garstka skromnych, cichych spiskowców. Dokoła kłębiły się różne rachuby polityczne, ugoda i ciemnota — szary ogół oswajał się powoli z jarzmem, lub chwilowo wierzył w lepsze jutro, dawał się porwać do czynu i znów ostygał — lecz ci najlepsi wiedzieli zawsze jedno: trzeba nam niepodległości, niepodległości za wszelką cenę! To był wytknięty jasno kierunek, niezachwiana busola. Serce biło równo i mocno, zawsze pełne zdrowej krwi.

To właśnie było pięknem tamtych pięknych czasów. To było powodem, dlaczego — wedle słów, cytowanych niedawno w

pamiętnym odczycie — wyobrażenia zbuntowanych niewolników stroiła kajdany kwiatami, tak cudnie pięknymi, że w samej chwili triumfu, żal za niemi zamglił łzą oczy zwycięzcy... To jest pozornie paradoks, głęboki i niepokojący — przez całe lata poszukiwałam gorączkowo jego rozwiązania, i oto zdaje mi się, że znalazłam!

My nie żałujemy niewoli, jako takiej, tylko tęsknimy za tą jasnością celu, którą ona wytwarzała. Celowość wysiłków i jasność celu — to konieczne czynniki moralnego zdrowia. A nam właśnie tego teraz brakuje i to od chwili odkąd zdołaliśmy ostatecznie obrońić się zewnętrznym wrogom, Niepodległość stała się faktem, marzenie 150-u lat zostało zniszczone — i cóż dalej?!...

Niech mi nikt nie mówi, że my przecie mamy przed sobą dostatecznie jasne wytyczne: dźwiganie się na siłach moralnie i materialnie, sanacja ekonomiczna, dościganie w postępach kultury reszty cywilizowanego świata, pielęgnowanie dawnych cnót, cele humanitarne, rozwój sztuki i nauki... Otóż to właśnie, że tego wszystkiego jest za dużo, z tego się tworzy chaos nie tylko w głowach jednostek, ale i w duszy narodowej. To nie może być wielkie, bo nie jest proste.

Wszystkie owe cele są słuszne, mądre, piękne — ale któryż z nich jest najbardziej nasz w tej chwili? który zdolny stać się hasłem pokolenia?

Że ogół polski tego nie wie, nie dziwię się bynajmniej: w masie społeczeństwa muszą nurtować przeróżne prądy i to nawet jest potrzebne, bo daje barwność i bogactwo zbiorowemu życiu.

Ale serce narodu powinno znać nieomylnie swoją naczelną praw-

dę — złe jest, jeśli jej nie zna! Spytajcie o tę prawdę najlepszych w narodzie, ofiarnych patriotów, myślicieli, wielkich artystów — każdy niemal z nich powie wam coś innego.

Dla jednego głównym celem będzie postęp, dla drugiego rozkwit dobrobytu, dla trzeciego obrona przed napadem sąsiadów, dla czwartego sprawiedliwość społeczna, dla piątego przodownictwo w dziedzinie nauki i t. d. i t. d...

Serce Polski jest zdezorientowane!

I to jest naprawdę, pod mnóstwem różnych niemocy, nieuchronnie towarzyszących zmartwychwstającemu Łazarzowi — jego choroba najgłębsza. Może i ona była nieuchronną? Tak, ale to przecie długo trwać nie może.

Ci, co są solą tej ziemi, muszą odzyskać kontakt żywy z jej dziejowym przeznaczeniem. Inaczej życie nasze stanie się tylko bezładną wegetacją, zejdziemy znowu na manowce...

Może wśród czytających te słowa znajdzie się choć kilka dusz, godnych współpracy w tem najpoważniejszym, tajemniczym dziele. A będą to te właśnie, które uczują w sobie żywiołowy byt poruszonego zagadnienia — żywą, palącą boleść nad tem, że nie wiedzą...

Niechże patrzą, niechże patrzą w siebie, mocnym, nieznudzonym, nieulekłym wzrokiem odkrywców, może przecie... może wreszcie Bóg da...

Tylko w nas samych może on przemówić nakazem nieodpartym, równie wysokim i potężnym, jak ów dawny, powstańczy. Patrzymy i nasłuchujemy drgnień sumienia — może już gdzieś się rodzi z bezkształtnej mgławicy nowy świat Piękna...

Z. Zawisanka

LISTY Z DRUGIEJ PÓŁKULI

I.

STANY ZJEDNOCZONE — A RESZTA ŚWIATA.

Nie jest to bynajmniej przeciwstawieniem paradoksalnym, jeśli chodzi o świat białego człowieka, zaś w pewnym stopniu odnosi się i do wielkiej, ogólnej całości stosunków ludzkich.

Ameryka znajduje się po jednej stronie — nie tylko o Atlantyku tu mowa. Coś więcej leży pomiędzy dwoma brzegami. Strona druga? Najpierw, oczywiście, szachownica Europy bogatej w przeszłość, dalej te zawsze, pomimo biegu wieków, tajemnicze obszary krajów o historii jeszcze dawniejszej i o nieskończenie starszej kulturze, na których w okresie nowożytnym ręka Europejczyka pisała imieniem rasy białej prawo czy uroszczenie do przodownictwa. Do tego czasu...

Stało się coś niedawno, a tak nagle, iż „starszy świat” jeszcze nie zdołał zdać sobie z tego sprawy. Zmieniło się i odeszło we wspomnienie coś, będącego rzeczywistością przez półtrzecia tysiąca lat. Boć przecie od obleczonej glorią legendy i chwały dni Maratonu i Salaminy, gdy w najcięższym rozkwicie porannym rasy zachodniej, heroizm słonecznej Helady przełamał wszechwładztwo azjatyckiego wschodu, na miejsce naczelne w historii ludzkości wystąpiła Europa i dzierżyła panowanie to bezspornie. — Do tego czasu.

Chwila końcowa wielkiej wojny była punktem zwrotnym, niedostrzeżonym wśród kolosalnego napięcia wszystkich materialnych i moralnych zasobów. Dzisiejsza powojenna, znajduje się już poza zwrotem dokonany. Mineliśmy słup u zakrętu drogi, nie wiedząc o tem i oto jesteśmy wobec kształtującego się, nowego stosunku sił, lecz na słupie nie było wskazówki żadnej, żadnego objaśnienia. Jedno tylko jest oczywiste, że myśleć dziś kategoriami przedwojennymi o hegemonji Europy to anachronizm.

Ameryką, w znaczeniu odrębnego czynnika dziejowego, są Stany Zjednoczone. Państwo z pod gwiazdzystego sztandaru, niejako wchłonęło w siebie nazwę geograficzną całego łagu zachodniej półkuli. Na gościńcu historii, który skręcił raptownie i ściele się w kierunku bardzo trudnym do przybliżonego bodaj obliczenia, zarysowała się w górujących rozmiarach postać, dobrodusznego z pozoru „Wuja

Toma”, wsławionego filantropa ludzkości w kataklizmie wojennym i — bankiera świata, czasu wojny i po wojnie... Spoglądać nań przez Atlantyk z miarą widzenia podług już nie realnych, ale jeszcze tak świeżych w pamięci praw „dziełstwa europejskiego” i mówić sobie: „Oto jeden z nas”, — to przeżytek i złudzenie, albowiem to ktoś inny.

Aż do chwili ostatniego zwrotu drogi dziejowej, utrzymywał się w Europie, w pewien nieokreślony sposób pogląd na Amerykę, jako na olbrzymią, zamorską — przybudowę. Wydawało się z tamtego brzegu oceanu, iż jest ona wciąż jeszcze, pomimo stułetniej z górą samoistności politycznej i stanowiska mocarstwowego, wyrazem ekspansji europejskiej. (Mam tu ciągle na myśli Stany Zjednoczone, jako uosobienie odrębności amerykańskiej w świecie.) Zdawało się, że to w gruncie rzeczy obszar doświadczalny dla wybujałości temperamentów, którym za ciasno w ramach dawniejszych warunków. Wzrokowi z za Atlantyku bytowanie „Wuja Toma” widziało się czemś ekscentrycznym pod wielu względami, odmiennym, ale nie obcym. W tym charakterze Ameryka nie wchodziła w kolizję z tradycjami wielowiekowego wspólnego przodownictwa rasy zachodniej, w którym nie przypuszczało się różniczkowania, a tem mniej współzawodnictwa. Dzisiaj o współzawodnictwie tem nie wiedzieć, już jest „archaizmem”.

Stany Zjednoczone czują się nie tylko współzawodnikiem starszego białego świata, ale zwycięzcą. Uważają, że spuścizna hegemonji dziejowej przeszła w ich posiadanie; dyskontują, jeśli tak można powiedzieć, znaczenie czegoś, co jest możliwością, nawet w wysokim stopniu, ale się jeszcze nie stało wszechstronnym faktem. Obiecują uratować cywilizację...

Z punktu widzenia celów ogólnych i ostatecznych, ponad poziomem wyłączności zaściankowych (a zaściankami bywają i kraje, i całe lądy, i rasy,) nie na tem rzecz polega, kto podejmie przodownictwo i zapewni dalsze i wyższe stadium rozwoju cywilizacyjnego, ale co świat pozyska przy zmianie rąk sterujących i jakim będzie charakter tego następnego okresu kultury powszechnej. Czy istotnie lepszym i wyższym, czy nareszcie „uprawą” nie tylko cech zewnętrznych i stosunków przymusowych? A zatem nie przesądza-

my... Miejmy w sobie coś z tej twórczej i niezniszczalnej miłości, o której mówi chrześcijański apostoł narodów, że „wszystkiego się spodziewa”. Ale z drugiej strony bierzmy pod uwagę wszystkie przesłanki i badajmy bez uprzedzeń, lecz z otwartymi oczyma wszystkie składniki. Boć to jest sprawa wspólna i o barwę, wyraz i wartość całej nowej epoki dziejów tu chodzi.

Dokładne poznanie, czem jest Ameryka dzisiejsza, uosobiona w Stanach Zjednoczonych, jakim jej stanowisko wobec reszty świata i co przynosi, a jeszcze bardziej przynieść może wspólnemu rozwojowi w zakresie dobra i zła, oraz stosunek do niej na tem poznaniu oparty: trzeźwy, bez mgławicy rzeczy nieprzemyślanych i bez oportunizmu wobec potęgi dolara, to bodaj że najważniejsze zadanie w obecnym momencie przełomowym.

To nie jest rzeczą łatwą. Spojrzeniu bezstronnemu przeszkadza fakt, iż Stany Zjednoczone są bogate, zaś kraje w starszym świecie za Atlantykiem, znajdują się przeważnie we względnej, lub bezwzględnej ubóstwie, albo na ciężkim dorobku. Miewa się łącznie złudzenia co do bogactwa, od którego spodziewać się można pomocy w tej, lub innej postaci. I — nie mówi się bogaczowi — prawdy, przynajmniej całej prawdy bez ugrzecznienia i osłonek. To przykre i upokarzające, lecz pospolite w stosunkach i ludzkich i między narodowych. Z drugiej strony i bogacz z trudnością może wejrzeć w siebie. Czuje zadowolenie ze swego przywileju, utożsamia go ze szczególną wartością swej istoty. Zjawisko to jest zbyt zwykłe, ażeby mu się dziwić, nie idzie jednak za tem, aby nie szukać sposobów zwalczania.

Chodzi mi oczywiście przede wszystkim o Polskę. O ustosunkowanie się jej — nowej w dzisiejszym świecie — do Ameryki powojennej, która jest również czynnikiem nowym o daleko większych rozmiarach materialnych i powszechnej sile przyciągania — dolarowego. Dla Polski ta siła przyciągająca potęguje się jeszcze czemś innym, co wynika z naszej najbardziej niebezpiecznej właściwości narodowej. Jesteśmy zawsze skłonni do umieszczania punktu ciężkości poza sobą. Istnieje to pomimo przejawiającej się częstokroć chętności zaściankowej

ze swoich cech, a nawet upodobań. Właśnie zaściankowość owego „ukontentowania“ sprawia, że rozciąga się ono bardzo łatwo pod wrażeniem obcych wzorów doskonałości. Ujęcie istoty żadnego narodu nie da się zamknąć w jakowymś jednym określeniu, zaś całkowity charakter polski, mniej niż kiedykolwiek bądź inny wyrazić się może w formule. Jesteśmy narodem szczytów i zaścianków. Na szczytach widzimy rzeczy dostrzegalne mało komu innemu w świecie. Posiadamy tam gniazda orle i niejedną z krwi naszej i kości, stał prawdziwie „na myśli ludzkich piramidzie“. Aliści szczyty są zawsze mniej liczne, niż zaścianki... W opłotkach pleni się cecha ludzi słabych, cofających się świadomie, lub instynktownie przed trudem wychowywania w sobie własnego typu doskonałości. Dla takich zwykle kędyś poza nimi jest wszystko dobre i skądś przyjdzie fala gotowych przemian błogosławionych. Jest to umykanie się od swojej części odpowiedzialności w budowie i za budowę świata. Jeśli przeto społeczeństwu z rasy anglo-saskiej, oraz Niemcom i Francuzom należałoby zwracać uwagę

na skłonność do płytkiego niedocenywania innych narodów, to naród polski przeciwnie, powinien pokonywać w sobie tę bezkrytyczność leniwa, która pochopnie przecenia. Byliśmy poprzez wszystkie wieki istnienia naszego „indywidualistami osobnikowymi“, nie wyrobiliśmy w sobie w należytej mierze, iż każdy z nas jest częścią organiczną wielkiej indywidualności narodowej, że poza tą indywidualnością, z której wyrastamy jak trawa z łona matki ziemi, albo wbrew jej, nie masz dla nas prawdziwego i pełnego wyrazu, czyli — jeśli tu zastosować określenie katechizmowe — nie masz zbawienia. Z tego braku więzi społecznej, sprawiającej przeświadczenie o tożsamości zasadniczej poszczególnego drobnego „ja“ z wielką indywidualną istotą narodu, wynika ten fakt przykrej, a pospolicie napotykaney sprzeczności, iż z trudnością uznajemy nawet oczywistą wyższość nad sobą innego osobnika, ale zupełnie łatwo i bez dostatecznych dowodów stawiamy Naród swój, jako całość, na stopniu drugim, trzecim czy dziesiątym w porównaniu z innymi.

Pracowita bezstronność we wzajemnem ocenianiu się narodów

potrzebna jest do wykuwania lepszych warunków wspólnego życia ludzkości, szczególnie w momentach, kiedy występuje nagle przegrupowanie sił na powierzchni i droga dziejowa przełamuje się w nowym kierunku. Poznać drugich zarówno bez uprzedzeń, jak bez „hurtownego“ zachwyty, aby zrozumieć, co światu dać mogą, a czego mu nie dadzą... A jednocześnie z tem, pamiętać, iż nikt z pomiędzy nich nie może dać wszystkiego. Co więcej, iż żaden z tamtych nie wniesie do wspólnego dzieła tego szczegółu i przyczynku, który tylko my włożyć w nie możemy, bo to nasz dział w twórczości powszechnej i nasza w zakresie tym odpowiedzialność.

Ameryka sięgnęła po hegemonję w świecie. Stać ją na wiele... Na ile i na co mianowicie, to zależy od tego, czem jest sama w sobie. Co ta, najszersza dzisiaj fala wpływu zwiastuje jutrzejszemu światu? Rozwój harmonijny wszystkich form życia, czy atrofję kultury duchowej na szczycie fenomenalnych zdobyczy technicznych?

Czem jest Ameryka?

(c. d. n.)

Jadwiga Marcinowska

K. L. K R Z E W S K I

ZIUNIA PAWŁOWSKA

(DZIECIŃSTWO ORZESZKOWEJ.)

W listopadzie 1849 roku rozstaje się Ziunia z matką, a raczej matka, wyszedłszy powtórnie za mąż, rozstała się z dziećmi. Wiadomość o ślubie matki nie zmartwiła zbyt wiele dziewczynkę. Owszem, były zadowolone z nowych i ładnych sukienek, otrzymanych na ślub (strój krakowski już posiadały) i rade panu Stanisławowi Widackiemu, który jako narzeczony matki zawsze przynosił im cukierki (i jako ojczym czynić tego nie przestawał). Bardziej niż pan Stanisław zaciekał Ziunię jego ojciec, którego wszyscy wokół nazywali panem chorążym. Z myślą o dawnych rycerzach przypatrywała mu się Ziunia pilnie. Senjor Widacki miał co prawda postawę niezbyt żołnierską (jakoś zbyt otyły był w pasie), ale niemniej przecież był prawdziwym ongiś chorążym wojska polskiego.¹⁸⁾ Po wyjściu matki za mąż, dzieci pozostały wyłączanie na opiece kochanej babci i w tem też czasie wyszła na zawsze z domu Ziuni jej na-

uczycielka, panna Michalina Kobylińska a to dlatego, że uznano, iż dla dorastających dziewczynek zakres jej wiadomości jest zbyt szczupły. Odejście panny Michaliny, do której Ziunia była niezmiernie przywiązana, zmartwiło ją głęboko, ale tylko na dni parę, po których upływie zapomniała na dobre o swej pierwszej nauczycielce.¹⁹⁾ W zimie roku 1851²⁰⁾ dotknęło serduszka Ziuni nieszczęście stokroć boleśniejsze: ciągle chorująca, wyczerpana już z niewielkiego zasobu sił, zgasła Klemunia Pawłowska. Po raz pierwszy w życiu zetknęła się przyszła powieściopisarka ze skolem ludzkim. O śmierci wiedziała to jedno: kto umiera, ten znika na zawsze. Śmierć siostrzyczki wstrząsnęła Ziunią tak mocno, że się rozchorowała. Wstała z łóżeczka osieroconą i osamotnioną. Została z jedną babcią. Matki blisko nie czuła, Klemunia, z którą się zwykle bawiła nie żyła, krewnych swoich nie знаła, nie widywała ich

u siebie w domu. Gdyby choć była dobra panna Michalina! Ale tę właśnie zamieniła nowa nauczycielka, pani Augustowska, która od dawnej posiadała więcej wiedzy, ale mniej serca. Panią Augustowską przywozła jeszcze na wiosnę roku 1850 (nie sposób wszystkiego naraz opowiedzieć) babcia Kamińska z Wilna, dokąd w tym celu pojechała z wnuczką. Widziała więc Ziunia Wilno, ów Onwil, który tylokrrotnie, gdy została powieściopisarką, opisywała i wspominała w swych utworach. O Wilnie wiedziała już przedtem coś niecoś, a o jego uniwersytecie słyszała wiele z ust b. profesora tego uniwersytetu Abichta, który wspólnie z prof. Wróblewskim leczył Klemunię.

Powtórne zameżczenie matki, odejście panny Michaliny, śmierć siostry i choroba własna oto wypadki, które zostawiła po za sobą dziesięcioletnia już dziewczynka. Nie zmieniły one trybu życia wyłącznej już

teraz właścicielki Miłkowszczyzny. Jak dawniej, tak i teraz niewiele traciła czasu na odrabianie lekcji, bo przyswajała sobie szybko wszelkie wiadomości. Program nauki nie rozszerzył się; znajomość języków nadal odgrywała w nim rolę pierwszorzędną. Spędzała więc czas na zabawie, czytaniu i pisaniu najrozmaitszych powiastek, nad którymi sama zalewała się często łzami, bo zawsze był w nich ktoś niesłusznie skrzywdzony. Z powiastek tych nie zostało ani śladu. Grodno, duszne w lecie, zastępowała na wiosnę Miłkowszczyzna z dużym ogrodem. Ziunia lgnęła tam do kwiatów, przedewszystkiem barwnych, bo w barwach kochała się „jak dziki człowiek.” Bawiła się tam w ogrodniczkę i oczywiście zaprzyjaźniła się z prawdziwym ogrodnikiem (Franek mu było), który był dla niej wyrocznią w botanice i kopaniu. Wspomina się o tem dlatego, że ten właśnie Franek opowiadał swojej dziadziejce wiele bajek chłopskich i on też nauczył ją pokażnej ilości słów białoruskich. Przeważnie przecież spędzała czas Ziunia tylko ze sobą. Choć jej brakło Klemuni, to jednak „sama dla siebie i przed sobą odegrywała jakieś historyczne, rycerskie, rozbójnicze albo, że tak powiem, obyczajowe, lecz zawsze bardzo dramatyczne historie.”²¹⁾ Mknęła więc na pięknym „koniu” po pokojach, głosiła mowy, jako Zamojski, groziła wrogom ojczyzny, zwyciężała i umierała jak Czarniecki, który mając konia i szablę nie stał o resztę. Często nie mając do kogo z żywych przemówić, głosiła perory postaciom historycznym z obrazów,²²⁾ i nic dziwnego, że samotna dziewczynka czytała zapamiętałe, a obecnie więcej niż za czasów panny Michaliny. Teraz bowiem czytała nietylko dla siebie, ale i dla przyjemności nauczycielki.

Pani Augustowska posiadała zwyczaj niezbyt zdaje się szczęśliwy dla nauczycielki. Oto w nocy, ułożwszy się wygodnie do snu, polecała swej uczenicy czytać głośno książki i gazety. Czytała więc Ziunia powieści Dumasa, George Sande’a, a z polskich Kraszewskiego (np. Interesy familijne).²³⁾ O tem co się na szerokim świecie dowiadywała się z dziennika francuskiego („Le XIX siècle”), w którego odcinku drukowała się powieść p. t. „Antonia ou la femme sauvage” i podobała Ziuni niezmiernie. Nocna ta lektura nie zaszkodziła czytelniczce i lektorce w jednej osobie, lecz nie pogłębiła jej myśli. Pani Augustowskiej musy my przecież przyznać, że dała Ziuni więcej wiadomości niż to uczynić zdołała panna Kobylińska, a tak-

że i to, iż ona pierwsza spostrzegła w dziewczynce zdolności literackie, w które uwierzyła po... dyktandzie francuskim.

Pewnego razu nauczycielka dyktowała: „La mère alla au marché pour apporter á ses enfans deux oeufs, du pain, de la volaille”, a więc zdanie prozaiczne. Po skończonem dyktandzie pani Augustowska odczytuje ku swemu zdumieniu to, co jej z ust wcale nie wyszło: „La mère alla au jardin pour apporter á ses enfans des roses, des boutons de roses.” Skąd to zdanie? Orzeszkowa opowiadając o tem dyktandzie wyjaśnia je sama. Gdy z ust nauczycielki padło: „La mère au marche”. Ziunia ujrzała w wyobraźni matkę swą,

18). Głośnym był w Grodnie i wśród szlachty grodzieńskiej wypadek p. W. z jego własnymi... wąsami. Gubernator grodzieński von Hoven ujrzawszy w swoim biurze twarz p. W. ozdobioną zawieszonym wąsem, rozkazał mu go siłą zgolić (zgodnie z odpowiednim rozkazem cara Mikołaja) na odwachu p. W. ratując swą ozdobę rzucił się do ucieczki, a gubernator za nim. Złowiono p. W. na placu gubernatorskim i zeszecono go na odwachu „Historja” wąsów ojczyma Ziuni, jak i sam gubernator, który Polakom groził szubienicą („Bo i cóż? — zwykły był mawiać — Car powie, że stary Howen zwarjował, a ty będziesz wisiał”) — to były również „komentarze do słowa Polaka.” „Ile razy potem słyszałam zdanie, że nam przed 1863 rokiem źle nie było i że nieszczęścia nasze od wypadków tego roku liczyć dopiero należy, przychodziły mi na pamięć, wśród wielu innych scen, wasy p. Stanisława Widackiego na bębnie hauptwachowym ogolone” — Orz. „Wspomnienia” Sfinks T. XIII. str. 202.

19). Po wielu dopiero latach wyzna autorka „Pamiętnika Wacławy” „Wyrzutem sumienia pozostało mi, że jej (p. Michaliny), gdy tylko mogłam to uczynić, nie odszukała i nie przygarnęła, tak jak ona do serca swego przygarnęła moje dziecięce serce. Takim jest życie; u najmniej nawet z pozoru winnych, pełne win” Tamże str. 191.

20). Daty śmierci Klementyny Pawłowskiej nie można na podstawie wyznań Orzeszkowej ustalić. Meyetowi pisała Orzeszkowa, że Klemunia umarła w zimie 1852 r. („Kurjer Warszawski” 1911, № 28) a Drogoszewskiemu, że „stało się to w roku życia moim ósmym” („Sfinks” T. XIII. str. 194). czyli według rachunku Orzeszkowej w 1850 r. Akt zejścia głosi: „1851 goda Fewrała 12 dnia w gorodje Grodno skonczała dziewica Klementina Pawłowska ot wodjanój boleznii... 12 let od roku.”

21). El. Orz. „Wspomnienia” „Sfinks” T. XIII. str. 342.

22). Przypomina to Bronię z „Siteczka”, która historie portretów naopowiadane jej przez ojca „lubiała daleko więcej, niż inne nauki... Ona też, jak nasłucha się tych historyj, jak ich pouczyła się na pamięć, to potem z portretami temi odegrywała różne komedje” („Iskry” — wyd. Bib. Dz. Wyb. str. 101).

23). W tym czasie nikt już więc Ziuni nie krępował w wyborze lektury, a jak opowiada Orzeszkowa („Z pożogi”): „Szafka lekka, nieduża, ze zbiorem lekkiej i nowej literatury, zdobiła pokój naszej matki.” Pani Augustowska, której lektorką była Ziunia przypomina pannę Grejs (z I. cz. „Eli Makowera”), której romanse francuskie czytywała Lili Orchowska.

idącą w sukni, którą zwykła była nosić najczęściej, aleją wysadzana różami. Widziała też dzieci, ogalające róże z płatków i perły, które wypadły z róż toczą się po podłodze... To wszystko napisała. Nie widząc nic nowego, pisała dalej zdania dyktowane. Czy pani Augustowska wiedziała, że trafiła na niezmiernie szczęśliwą chwilę, kiedy przy dyktandzie siedziała Ziunia, autorka jakichś smutnych powiastek? I dodajmy, że w wywołanym w wyobraźni Ziuni obrazie matki zrywającej róże, zmyśleniem są tylko owe perły, wypadające z nich. Dzieci istotnie, bardziej niż starsi, mają skłonność do оголоcania róż z płatków. Pani Augustowska po tem dyktandzie dawała Ziuni wypracowania bardziej samodzielne i ciągle powtarzała, że będzie z niej autorka. Nikt jednak nie życzył sobie tego i ani pani Widacka — matka, ani babcia Kamieńska. Przyszła autorka uczyła się u pani Augustowskiej i była jej lektorką przez dwa lata. Wreszcie postanowiono Ziunię wysłać na pensję.

Stało się to nieodrazu. Jaka przyczyna postanowienie to wywołała, nie wiemy. Zdaje się, że przyczyn było parę. Pani Augustowska była osobą kapryśną i jak się to mawia „trudną”, a o inną nauczycielkę, odpowiedniejszą niełatwo było. Ziunia rosła, zachodziła potrzeba obznajomienia jej głębiej z nauką, z nowymi przedmiotami, czemu nie mogłaby może pani Augustowska podołać. Wreszcie w sprawie dalszego kształcenia Ziuni zabrał głos jej opiekun prawny, wyznaczony zaraz po śmierci ojca, Konstanty Niezabytowski (sąsiadujący z Miłkowszczyzną), człowiek prawy i wykształcony. Pan Niezabytowski zdawał sobie sprawę z tego, iż Ziuni brak towarzystwa rówieśnego, że wzrasta samotna, stając się ponad wiek poważną, a nie uszły też jego oka smutki, w które dziewczynka wpadała bez słusznej częstokroć racji. Postanowiono ją więc po naradzie oddać na pensję. Ale na jaką? Z zakładów naukowych żeńskich brać można było pod uwagę dwie pensje klasztorne: p.p. Wizytek w Wilnie i p.p. Sakramentek w Warszawie. Istniały co prawda dwa instytuty rządowe: jeden białostocki, a drugi w Puławach, ale kształciły się w nich przeważnie Rosjanki lub te z Polek, które korzystając z zasiłków państwowych przebywać tam musiały. W instytutach tych nie było ani jednej panienki, z tej sfery, która odpowiadałaby córce Benedykta Pawłowskiego. Po za innemi przyczynami Ziuni nie wypadało wprost przebywać w instytucie

rządowym. Była też w Wilnie pensja niejakiej pani Głowackiej, ale cóż... Opowiadano po Wilnie i okolicy, iż na balach, tam urządzanych bywają oficerowie rosyjscy. Wystarczyło to, aby nikomu na myśl nie przyszła pensja podejrzana politycznie, a podobno i pod względem obyczajowym również. Trzeba więc było rozstrzygnąć, czy Ziunia pojedzie na pensję klasztorną do Wilna czy też do Warszawy. Opiekun Ziuni chciał, aby się koniecznie znalazła u p.p. Witytek wileńskich. Pan Niezabytowski był rozkochany w swojej żonie, która z tej pensji wyszła. To, co mu się wydawało ideałem w pięknej żonie, łączył w zwykłym zaślepieniu ludzi zakochanych z wileńskim systemem wychowania klasztornego i wierzył, że Ziunia nie inną, jeno taką jak pani Niezabytowska z pensji wyjdzie. Matka Ziuni miała znowu swoje powody, aby się zdecydować na wysłanie jej dalej od siebie, do Warszawy, dokąd też babcia odwiozła jedyną wnuczkę. Stało się to w r. 1852, kiedy panna Eliza (według metryki Elżbieta, co na jedno wychodzi), Pawłowska miała lat dwanaście z małym miesięcy okładem. W dzieciństwie nikt się do niej nie zbliżył. Jedna babcia ciągle ją swoją otaczała troskliwością. Rosła sobie w samotności, jak gdyby skazana na nią na długie, długie lata przez los dobrośliwy, który chciał ją widocznie do tej samotności przyzwyczaić. Nie była ta samotność jak dla innych, dorosłych nawet ludzi, przykrą, nieznośną, działającą w skutku

źle na zdrowie. Nie była zaś dlatego, że Ziunia przyniosła ze sobą na świat umysł żywy, rzutki i ciekawy. Cokolwiek robiła, sprawiało to jej przyjemność. Łączyło się z całym szeregiem doznawanych wrażeń, które pobudzały energię dziecięcą do wyładowywania się. Lubiła książki. Nauka pozwalała się dziewczynce zdobywać dziwnie łatwo. Nie uczyła się, jak inne dzieci całymi godzinami. Świat i Polska rosły wraz z nią, bo odkrywała je ciągle przez świeżo nabywane wiadomości. To co wpadało w głowę dziewczynki, zapadało też w serce, przetwarzało się na spłot własnych myśli i uczuć, podsycających i potęgowanych silnie i zdrowo przez miłość ojczyzny. A jednak miewało to dziecko, chowane nietylko w dostatku, lecz i w zbytkach chwile jakiejś melancholji, smutku. Jakas tęskna żalność ogarniała ją szczególnie w mieszkaniu grodzieńskim.²⁴⁾ Mogła oświecić, zapłakać nawet w chwili, kiedy jej się niczego jąc nie chciało, niczem rozzerwać, zasnąć...! Smutek ten mógł w niej rodzić poczucie osamotnienia. Ale nie te tylko były jego po-

24). Orzeszkowa, opisując swe smutki dzieciinne, wpadła w nic nieznaczącą, bo niezmienną istotą rzeczy, sprzeczność. We „Wspomnieniach” czytamy: „Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek w Miłkowszczyźnie doświadczała owych wyżej wspomnianych, bezprzyczynowych smutków”, a jednak opisała — i to bardzo ładnie — chwilę takiego smutku, przeżyty w swej wsi rodzinnej (Por. „Sfinks” T. XIII, str. 37 i 345—6).

wody. Były smutki bez powodu. Szły skądś, z zewnątrz, sączyły się z dźwięków ziemi i barw niebieskich i kończyły się niespodziewanie wybuchami płaczu, niezrozumiałego dla starszych.

O takich i podobnych dzieciach starsi często mówią, że są „dziwne”. Nie. One nie są dziwne i dziwną nie była Ziunia Pawłowska. Miała tylko duszę bardziej wrażliwą, duszę bardziej czułą niż inne dzieci.

A może też smutki podobne roduziła w niej nietylko dusza nader czuła, lecz i ten umysł młodziutki, który gdy dojrzał zdradzał zawsze obok ciekawości, główną swą cechę: refleksyjność i wypływającą z niej zadumę nad istnieniem ludzkim na ziemi.

Za takim, nie w każdym domu rosnącym, dzieckiem zamknęła się furta klasztorna. A że to było dziecko niezwykle, najlepszym tego dowodem to, iż zostało wkrótce okrzykane na pensji za geniusza.

Nie należy tego zamknięcia się furty klasztornej pojmować tragicznie, choć skoro co prawda—to nie grzech, zaczęło się dla Ziuni rozpaczliwie. Gdy babcia Kamińska pożegnała się z nią, uciekła biedaczka do ogrodu klasztornego zaszła się w gęste krzaki i bitą godzinę przebeczała. Później, zaczęło iść wszystko swoim trybem, który w ciągu pięciu lat był jednakowy, choć Ziunia Pawłowska ciągle rosła i rozmaitych uczyła się przedmiotów.

Ale o tem kiedyindziej. *Koniec.*

*Gdy umrę, mój najdroższy, nie śpiewaj nademną
Żadnych pieśni posępnych. Niech cyprys nie zaćmi
Czoła mego—pamiętaj!—swą pochodnią ciemną,
Ni drzew nie chce, ni róże na mogile sadz mi,*

*Trawa jeno niech będzie nade mną zielona,
Od ros mokra i bujny, chłodny deszcz—na pola
Padający pocichu i świeży, jak ona,
Nie—myśl o mnie, gdy nie chcesz... lub wspomnij—jak wola!*

*Za nic będzie mi wówczas deszcz i cień i trawa
I boleśnie dzwoniący słowik w kwietnej porze—
Śnięca w cieniu, po którym żaden dzień nie wstawa,
Przez sen może przypomnę... lub zapomnę... Może!*

CHRISTINA G. ROSSETTI

GDY UMRĘ...

tłum. M. WOLSKA

PAWEŁ WINIKOWIECKI

PANTOFELEK

(Bajeczka prawdziwa).

W pewnem mieście mieszkała sobie mamusia ze swoim synkiem. Gdy synek był jeszcze bardzo mały, nie był wcale ładny: zmarszczona, jak u staruszka, buzieczka, główka łysa, rączki jak żabie łapki, podgięte sine nóżki.

— Czy też on już taki zostanie? — myślała z niepokojem mamusia, wstając raz po raz od roboty, to żeby małemu brzydalkowi poprawić poduszeczkę, to żeby go pohuścić, to znów, by mu wetknąć flaszeczkę z mlekiem.

Ale im częściej do niego od maszyny wstawiała, tem bardziej zdawało się mamusi, że synek robił się ładniejszy: buzieczka się zaokrągliła, zmądrzały oczki, wyrównały nóżki.

— Ładnieje — mówiła sobie mamusia, wyglądając mu po kąpieli drobne ciało. — I ładnieje, i mądrzeje. Oto już i główkę podnosi, i jak mądrze patrzy, a poduszkę podparty nie chce już wcale leżeć, a chciałby tylko wciąż siedzieć i rozglądać się. Muszę mu kupić grzechotkę — pomyślała mamusia — żeby się miał czem zabawić.

I kupiła mu grzechotkę, którą stukał po szczeblach swego łóżeczka i w takt i nie w takt mamusinej maszyny. I coraz to ładniał i coraz to mądrzał, ale nigdy nie wydał się mamusi tak ładnym i mądrym, jak wtedy, kiedy, stojąc już na chwiejnych nóżkach, rączkami uczepony łóżeczka, chciał się do mamusi na środek pokoiku dostać.

— Chodź, chodź — śmiała się mamusia, nachylając ku niemu — chodź, dam ci coś z kieszeni — mówiła, uderzając ręką po kieszeni fartucha, w której brzęczały naparstek i szpulka. — Chodź, chodź — mamiła go ku sobie mamusia.

I puścił synek szczeble łóżeczka, rozstawił rączki i, chwiejąc się na słabych nóżkach, z rozwartą od śmiechu gapkowatą buzią, puścił się ku mamusi.

— Jeszcze krocze, jeszcze krocze — wołała mamusia usuwając się od niego. — Da ci coś mamusia z kieszeni. Chodź, chodź.

A on jeszcze krocze, jeszcze krocze, z rozwartą od śmiechu buzią i pijanemi z uciechy oczkami, zachwiał się nagle i pochylił... Chwyciła go mamusia pod paszki i podniosła wysoko — wysoko raz

i drugi, aż pod sam sufit ich małej na poddaszu izdebki.

— Muszę mu kupić buciki — pomyślała mamusia, składając przed snem robotę. Wyjęła z szufladki sakiewkę, policzyła pieniądze, — Nie, za mało.

I rozwinęła z prześcieradła na noc już złożoną robotę i znów przy maszynie usiadła —

...i warknęło kółko, i stuknęła stalowa nóżka i rozbiegła się, a wraz z nią, bieg jej znacząc, mknęła igielka i po białym batyscie, i po różowym atłasie, wążutkie zawijała rąbeczki i przymarszczała szlarczki, długo — długo za północ, a może i do rana...

A rano, kiedy tysiącem kół wesoło zahuczało miasto, przewiązała mamusia, by nie wypadł, synka po przez szczeble łóżeczka, a sama oddać robotę i buciki kupić pobiegła. I gdy wróciła, zaraz na nóżki mu je włożyła, z łóżeczka wyciągnęła i po izdebce powiodła. A on pokrzykiwał radośnie, kłapiąc po podłodze czarnemi w pantofelkach nóżkami, i śmiał się do rozpuku, gdy go w końcu mamusia podniosła wysoko — wysoko, aż pod sufit ich niskiej na poddaszu izdebki.

— Synku mój, synku — przemawiała mamusia — jakiś ty już mądry, jaki duży, jaki śliczny w tych butach.

I synek nie chciał już teraz leżeć ani siedzieć w łóżeczku, tylko na małym z gałganków dywaniku siedział u nóg mamusi, gdy szyla i wciąż to zdejmował, to nakładał czarne pantofelki. Chociaż bardzo już zmądrzał, na tyle jednak był głupi, że zdjęte pantofelki pakował czasem do buzi. Przystawała wówczas szyć mamusia, kładła mu pantofelek na nogę, mocno zapinała guziczek, a w rączkę kładła mu skóreczkę od chleba.

I tak synkowi, siedzącemu na dywaniku, a mamusi wciąż szyjącej, przeszła zima.

Pod wiosnę, gdy pewnego razu mamusia odniosła robotę do sklepu, młody subjekt zaszedł jej drogę powiedział:

— Wie pani, że właściciel uważa robotę pani za najstaranniejszą, dawał ją za przykład innym. Na zbliżający się sezon podniesie pani pewno płacę, niech się pani tylko upomni.

I wróciła Mamusia radosna do domu, bo musiała przecież kupić synkowi nowe już buty i ubranko i czapeczkę, a kaszki teraz i mleka zjadał coraz więcej, ba: i bułkę całą mógł już zjeść odrazu.

...I tego wieczora jakby radośniej warknęło kółko maszyny i stuknęła stalowa nóżka, a za nią pośpieszyła igielka i rozbiegła się po równiuchnych zakładczkach, obiegła zgrabnie hafciki i wstaweczki i coraz to modniejsze koroneczki długo — długo za północ, a może i do rana...

Było już ciepło i wiosną pachniało na dworze, gdy mamusia schowała do kuferka przydeptane pantofelki, a włożyła synkowi nowe żółte, na cztery guziczki spięte buty; uszyła mu też niebieską sukieneczkę i białą czapeczkę i pewnej niedzieli wyszli sobie na spacer.

Jakże się oboje radowali: On wyrwał się mamusi i biegł za każdą w podwórzu kurą, doganiał gołębie, stawał jak wryty przed koniem. I cieszył się i dziwił, czapeczka raz po raz spadała mu z głowy, a oczki błyszczały z zachwytu. I patrząc nań jakże się cieszyła mamusia.

Ale od tego dnia prawdziwy był z nim kłopot, bo nie chciał siedzieć już w izdebce i, płacząc żałośnie, pokazywał na okno. I rzucała mamusia robotę, brała go na ręce i nosiła przed domem po ulicy, aż uspokojony i szczęśliwy usypiał na ramieniu. Ostrożnie kładła go wtedy do łóżeczka i szybko do roboty biegła.

...I jeszcze szybciej warknęło kółko i jeszcze prędzej spadała nóżka i pomykała po niebieskich i po różowych bluzkach, i po jedwabnych staniczkach, i po haftowanych spodniczkach długo — długo, aż do jasnego w gwarne mieście rana...

I tak przyszedł rok trzeci i trzecia przyszła wiosna. I nie chciał już synek wcale siedzieć w izdebce. Zostawiała go też mamusia niekiedy pod okiem dobrej sąsiadki, która, dzieci nie mając, długo przestawała w bramie, to z tym to z owym ciekawe wiodąc gawędkę. Ale mamusia, pełna niepokoju, raz po raz zbiegała do bramy, bo przecież mogła się zagadać dobra sąsiadka, mógł się synek oddalić, mógł zabłąkać, mógł się przecież nawet i pod dorożkę dostać. Przyносиła go mamusia nieraz powala-

nego, bez czapeczki i w podartych majteczkach. Płakał też synek i krzychał mocnym już i silnym głosem, gdy mu wyjść więcej na ulicę nie dawała.

I znów przyszła zima, i przyszła wiosna, i znów lato —

...i coraz ostrzej warczało kółko, i coraz szybciej spadała stópka i ledwie nadążając za nią igielka równiuchnym ściegiem wążutkie zna-czyła zakładeczki, i drobne u szla-reczek rąbki, i obiegała hafciaki i wstaweczki, i wyciągane w mereż-kach niteczki...

I przyszła zima, i znów wiosna, i lato... i tak przeszło lat siedem. Synecek był już duży, jadł więcej od mamusi, biegał po ulicy, czasem załatwiał mamusi sprawunki — do gałganka dobierał kolorowe wstążeczki, kupował naftę i chleb w sklepiu, ale więcej jeszcze krzychał i dokazywał, bił się z dziećmi przed bramą i na podwórzu.

— Tak być nie może — myślała mamusia — muszę go czegoś uczyć. I kupiła mu książkę. A on zacieka-wił się bardzo literami, składał je ze sobą i zdziwiony, radosny,

wykrzykiwał całe wyrazy. Śmiała się mamusia z niego, patrząc z po-nad maszyny, i rada była tej jego pojętności, a jeszcze więcej temu, że siedział w domu. — Trzeba go będzie naprawdę uczyć — pomyślała mamusia i poszła poradzić się biednego studenta, kóry taką samą jak ona na poddaszu zajmował izdebkę i tak samo jak ona bla-dym rankiem zimowym gasił po-ciemniałą lampę.

Westchnął student, gdy mu ma-musia swoją prośbę przedstawiła. Chwilę się namyślał, a gdy zasmu-cona mamusia chciała już przepro-sić i odejść, zatrzymał ją spojrze-niem i dodał:

— No, dobrze, niech go pani przyśle, zobaczę.

Obejrzała mamusia synka, czy nie umorusany, wnetknęła w rękę książeczkę i do studenta posłała.

Chodził tak synek do studenta tydzień i drugi, a nie śmiała ma-musia pytać, co by o jej synku myślał, gdyż naprawdę serce jej ciepła ogarniała radość, gdy z po-nad maszyny patrzyła, jak on cały dzień prawie, paluszkami wodząc po książce, czytał, lub wydawszy buzię, uważnie ołówkiem kreślił

liczby i litery. Wreszcie mamusia poszła.

— Pierwszorzędne zdolności — powiedział rozradowany student. — Szkoda, żeby je zmarnował

Podniosła mamusia szczęśliwe na studenta oczy i pytać go chcia-ła, czyby synka mógł uczyć, gdy on, już się domyslaając, sam pierw-szy powiedział:

— Ależ tak, niech tu tymczasem do mnie chodzi, a na wiosnę pój-dzie już pewno do szkoły.

Drżącymi z radości ustami chcia-ła znów mamusia pytać, czy ma tyle pieniędzy, aby za naukę za-płacić, ale on, jakby zawstydzony, nie dał jej mówić i przedziutko dodał:

— Ależ nic, nic zupełnie, wcale on mi tu nie przeszkadza, niech przychodzi, niech się uczy przy mnie.

Wróciła mamusia szczęśliwa do swej izdebki, pogładziła po głowie syneczka, słodkimi spojrzeniami wpatrzona w książkę oczy jego ku sobie odwiodła, znów ręką po włosach pogładziła, a składając do sklepu różowe i niebieskie bluzki, znalezionym skraweczkiem radośnie lzy z powiek swych otarła. (c. d. n.)

I V O A N D R É

WĘDRÓWKI ALIJI DŻERDŻELES

(tłum. z Serbo-chorwackiego M. Zn. Szczepańska)

Ivo Andrić, autor „Wędrówek Aliji Džerdžesla” należy do najmłodszych pisarzy jugosłowiańskich (ur. w r. 1892). Pochodzi on ze starej rodziny sarajewskiej i jest ostatnim ze swego rodu. Dał się poznać jeszcze przed wojną z po-ezyj i artykułów, rozrzuconych po pismach, główna jednak doba jego twórczości rozpoczęła się po woj-nie od poematu p. t. „Ex Ponto”, w którym przedstawił w formie fi-lozoficzno-lirycznej przeżycia we-wnętrzne z czasu wojny i swego uwięzienia. „Wędrówki Aliji Džerdžesla” wychodzą już obecnie w trzecim wydaniu, co daje miarę poczytności tej wspaniałej no-weli w społeczeństwie jugosłowiań-skim. I rzeczywiście jest to pra-wdziwe arcydzieło. Autor wziął sobie za zadanie przedstawienie człowieka silnego, wyższego na tle codziennych wydarzeń i w stosun-ku do kobiety — ideału. Džerdžes jest wprawdzie typowym i rasowym Bośniakiem, ale może być zrozu-

miany przez wszystkich, bo zarów-no jego wielkość, jak jego tragizm są ogólnoludzkie i tak dawne, jak ludzkość sama. Ten niezdarny bo-hater, zwycięzca w setkach zażar-tych bitek, a zwyciężany stale w drobiazgach życia codziennego, ten siłacz, o którym w Bośni rzeczy-wicie układają pieśni, znajduje w życiu dla siebie tylko szyder-stwo, niezrozumienie i rozczarowa-nie, aż wreszcie serce swe, prze-pełnione miłością, a nie mające komu się oddać, rzuca pod nogi kobiecie upadłej.

Fragment dzieł Džerdžesla odbywa się na tle groźnej, półdzi-kiej, a czarownej przyrody Bośni, w czasach panowania tam jeszcze Turków, czyli w drugiej połowie XIX w., wśród egzotycznych dla nas ludzi i obyczajów. Akcja to-czy się szybko, zwięźle, styl jest bogaty i porwujący. Warto do-prawdy poznać tę perłę najnowszej twórczości jugosłowiańskiej!

M. Zn. Szczepańska

DŻERDŻELES W ZAJĘDZIE

W zajędzie, koło urzędu celne-go, w Wyszegradzie¹⁾ skupiło się zwolna sporo podróżnych. Małe dopływy Driny wezbrały i zniosły drewniany most na drodze do Pri-boju, a także popsuty drogi w kil-ku miejscach. Most budowali cie-śle, a drogę poprawiali najęci ro-botnicy i aresztanci. Podróżni zaś, którzy z Sarajewa jechali na wschód, zatrzymywali się w „ha-nie”²⁾ koło komory celnej, czeka-jąc aż się skończy stawianie mo-stu i drogi staną się możliwsze!

Ogromny stary „han”, mający kształt prostokąta, pełny był, jak oko. Wąskie i szczelnie do siebie przystające pokoje przypominały komórki w ułu, a naokoło całego domu biegł wąski i kręty balkon drewniany, który nieustannie skrzy-piał i dudniał głucho pod nogami podróżnych. Cały zajazd czuć by-ło stajnią i oborą, ponieważ na dole w podwórzu, bito codziennie

barany, których skóry suszyły się, rozpięte na ścianach. Wśród przeróżnych ludzi, ugrzęzłych tu w swej podróży, znajdowali się: Suljaga Dizdar, urzędnik podatkowy, podróżujący służbowo wraz z trzema poborcami; dwu braciszków z Kreszewa, którzy szli z jakąś skargą do Stambułu; Grek, zakonnik; trzech Wenecjan z Sarajewa, a z nimi młoda i piękna kobieta. Mówiono, że są to posłowie z Mletaku³⁾, idący drogą lądową do Porty: mieli oni list żelazny od paszy sarajewskiego i „zaptiję”⁴⁾, aby im wszystko po drodze ułatwiał; zachowywali się powściągliwie i wyglądali na ludzi szanownych a podejrziwych. Był dalek jakiś kupiec, Serb z Plewla, z synem, młodzieńcem wysokim, milczącym, o licu barwy niezdrowo rumianej; dwu kupców z Liwna ze swymi woźnicami; kilku begów⁵⁾ z Posawiny⁶⁾; jeden błądy wychowanek szkoły wojskowej carogrodzkiej ze stryjem; trzech Arnantów, sprzedających gorący trunek, zwany „Salebem”, handlarz noży z Toczy; kręciło się jakieś podejrzané indywiduum, podające się za duchownego muzułmańskiego z Bihacza, a w rzeczywistości, zdaje się, gnane po świecie wichrem swych strasznych i mętnych popędów. Byli jeszcze: Arab; sprzedający leki, recepty, ozdoby koralowe i pierścienie, na których sam wyrzynał inicjały oraz cała kupa furmanów, handlarzy koni, przekupniów i cyganów. Oprócz tych obcych, w „kachwie”, czyli kawiarni, siedziała całemi dniami młodzież miejscowa, bogaci i godni Turcy. Od rana do nocy słychać było żarty, śmiech, tańce, dźwięki „defa” i tamburynów, łomotanie kostek po suchej desce, w grze, zwanej „szez-besz”, chrząkanie świń i wrzawy próżnującej wędrowniej gawiedzi. Mnichy nie wychodziły wcale ze swego pokoju, a Wenecjanie — najwyżej na krótkie przechadzki i to wszyscy razem.

Jeden z ostatnich przybył Dżerdzeles. Przybył, poprzedzony pieśnią ludową. Zbliżał się wolnym klusem, na białym koniu o krwawych oczach, po których były rumaka czerwone kity, a długie, z czystego złota plecione frendzle błyszczwały naokoło Dżerdzelesa, igrając z wiatrem. Został przyjęty milczeniem, pełnem podziwu i szacunku, otaczała go bowiem sława wielu bitek i siły, wzbudzającej postrach. Wszyscy o nim słyszeli, ale mało kto go widział, ponieważ całą swą młodość przejeździł między Trawnikiem a Stambułem.

Obcy i domowi skupili się przy bramie. Słudzy przytrzymali Dżer-

dzelesowi konia. Gdy zeskoczył i przeszedł przez wrota, widać było, że jest niezwykle niski i przyśadzisty i że stąpa, niezgrabnie rozstawiając nogi, jak ludzie, nie nawykli do chodzenia piechotą. Ręce miał nieproporcjonalnie długie. Niewyraźnie i nieuprzejmie mruknął „merchaba”, co znaczy „pomagaj Boże” i wszedł do kawiarni. Teraz, gdy zsiadł z konia, zstąpił jakgdyby z piedestału. Zaczęto pozbywać się strachu i respektu, podchodzić do niego, rozpoczynać rozmowy, jakby zrównał się nagle z innymi. Dżerdzeles zaś rozmawiał chętnie, akcentując nieco z arnaucka⁷⁾, gdyż długie lata kręcił się koło Skoplja i Pieczy. Wymowny nie był: co chwila brakowało mu wyrazów, jak to się zdarza ludziom czynu i wtedy rozkładał swoje długie ręce i toczył czarnemi jak noc oczyma, podobnemi do oczu królika, w których nie można odróżnić źrenicy.

Po upływie kilku dni znikło zupełnie zaczarowane koło, otaczające Dżerdzelesa; jeden po drugim zbliżali się do niego ci ludzie ze wszystkich stron świata z nieświadomym pragnieniem dorównania mu lub podporządkowania go sobie. Dżerdzeles pił z nimi, jadł, śpiewał i grał w kości.

Zaraz nazajutrz dostrzegł Wenecjankę, gdy wchodziła ze swem towarzystwem do izby. Zachłysnął się, uderzył ręką w kolano i dwukrotnie zawołał za nią: — Aman! — Aman!

Od tej chwili Dżerdzeles rozgorzał. Dreszcz go przechodził na myśl, jakby to te delikatne stawy gięły się w jego palcach... Bliskość tej subtelnej piękności sprawiała mu ból prawdziwy. Oczywiście stał się wnet śmieszny. Ludzie miejscowi i obcy pochwycili odrazu tę jego słabą stronę. Zaczęli mu radzić, namawiać go, odwozić i podniecać, a on tylko ręce błogo rozkładał i błyskał oczami.

Zdarzyło się w dodatku, że od Rogaticy przybył Bogdan Cincarin, śpiewak, znany połowie Bośni; le dwie zaśpiewał — podbił i zachwycił odrazu cały han. Mnichy na-

wet podsłuchiwały go z za okna, a Dżerdzeles stracił miarę, pamięć i przytomność. Zdjął pas i siedzi oto spocony między kawalerami miejskimi i gośćmi hanu, przed nim ser i „rakija”⁸⁾, tamci się zmieniają, odchodzą i przychodzą, a on pije bezustanku, stawia i podśpiewuje fałszywie a nisko swoim ciężkim, basowym głosem.

Wyśmiewają się z niego bez najmniejszego już strachu i zastanowienia. Bogdan Cincarin, młody a szpakowaty, podrzuca głową (górną wargą drży mu z lekka) i śpiewa, śpiewa... Dżerdzelesowi wydaje się, że zeń duszę wywłóczy, że tuż zaraz umrze od zbyt wielkiej mocy, czy zbyt wielkiej słabości. Frant z Foczy siedzi przy nim i kpi z niego, że wszyscy pękają ze śmiechu. Tylko Dżerdzeles patrzy na swego dręczyciela rozanielony, bezpamiętny. Obejmuje go i całuje w ramię, ten zaś bez przestanku nabija mu głowę niewierną. Dżerdzeles chce iść po nią, porwać ją i posadzić koło siebie. Karczmarz zaczyna się już obawiać awantury, ale handlarz przyprowadza Dżerdzelesa do porządku szelmowskim, nakazującym uśmiechem: „Gdzie lecisz? choryś? Nie jesteśmy w zajeździe w Metalce, ani w Sarajewskiej karczmie! Z panami masz do czynienia, heej!

I Dżerdzeles siedzi pokornie, jak dzieciak, pije, pali, śpiewa i płaci, aż wreszcie i chłopak usługujący zaczyna go przedrzeźniać za plecami.

Dwa dni hula Dżerdzeles z towarzystwem i wzywa Wenecjanki, i wdycha, i opowiada o swojej miłości, zająkliwe, niejasno, śmiesznie. Ludzie klepią go po ramieniu, łżą, że poleciała mu powiedzieć to i owo, a on zrywa się, by iść po nią, póki go handlarz z Foczy, który całkowicie już nim zawładnął, nie zatrzyma i nie posadzi, przedrzeźniając go i gadając takie głupstwa, że cały han trzęsie się od śmiechu.

Trzeciego dnia, jakoś koło wieczery, pobratali się handlarz i Dżerdzeles ostatecznie, jak to się zdarza ludziom pijącym i bezczynnym. Handlarz nibyto spoważniał.

— A dlaczegożby ona nie mogła być moją?

— Jok, Jok, canum, nie, nie, du-szol — drze się Dżerdzeles i twarz mu się rozjaśnia uśmiechem, że ktoś mu odmawia ukochanej i on może walczyć o nią.

„Boga mi!”⁹⁾ — kto pierwszy do dziewczyny, tego dziewczyna! — za-pewnia ktoś z boku. (c. d. n.)

¹⁾ Miasteczko na południo-wschód od Sarajewa.

²⁾ han — zajazd.

³⁾ Mletak — Wenecja.

⁴⁾ Żandarma.

⁵⁾ Beg — szlachcic turecki, właściciel ziemski.

⁶⁾ „Posawina” jak „Powiśle”.

⁷⁾ Arnauci — plemię albańskie.

⁸⁾ Śliwowica.

⁹⁾ „Boga mi” Jugosłowiańskie: Jak Boga kocham!

MNISZKA Z MONZY

5)

VI

„Niepodobnem jest zgola wyrazić, do jakich granic doszła wściekłość i rozpacz Signory, gdy, pani niegdyś samowładna, dziś z królestwa swojego wygnana, rozwiązłej swobody pozbawiona, w nowem ujrzała się miejscu. Banitka, niewolnica, z cześci i dobrej sławy wyzuta, widząca oczy wszystkich na siebie zwrócone, nieodwołalnym wyrokiem losu ujarzmiona, zbuntowała się, roztrąciła strażników i szpadę jednemu z nich wydarłszy, groźna, do furji zaiste podobna, chciała sobie ku wyjściu drogę utorować. Siłą ujęta i z powrotem odprowadzona wzbraniała się przyjęcia posiłku, tłukła o mur głową, z trudem zdołano powstrzymać ją od zadania sobie śmierci.

„Głównym przedmiotem jej nienawiści był kardynał, jego przeklinała z krzykiem wielkim, tak, jak opętani przez czarta przeklinają niebo. Sama wyznawała później, że najokrutniejsza złość, jaką serce ludzkie odczuć może, igraszką była dziecinna wobec tej żądzy zemsty, jaka opanowała jej duszę, i nienawiści człowieka, którego później wybawcą swym i dobrodziejem uznać miała. Wstręt zmienił się wtedy w podziw i wdzięczność bez miary, ale żeby to zaszło, musiały zajść inne, okropne i potworne wypadki, straszliwe następstwo popełnionych już zbrodni“ (Ripamonti).

Tegoż dnia gdy Signorę wywieziono, Osio, ukrywający się dotąd w klasztorze, zbiegł do pobliskiego lasku. Tam czekał dalszego biegu zdarzeń.

W Monasterze była istna „ruina Troi“. Komisja, wysłana przez trybunał duchowny badała mniszki, a te, jakby wyzwolone z paralizującego czaru, wyznawały dzieje lat ostatnich.

Znamienne, że żadna nie winiła Signory, pytane czemu jej tak ulegały, odpowiadały: „bo tak dobra była.“

Wspólniczki Signory czuły, że ziemia usuwa im się pod nogami. Dwie najbardziej skompromitowane powzięły myśl szaloną ucieczki. Odniosły się ukradkiem do Osia. Ten zgodził się, mając już uknuty okrutny plan pozbycia się świadków zbrodni. Wyprowadziwszy obie kobiety w nocy przez właz w murze poza miasto jedną z nich Oktawję wrzucił do rzeki Lambra z mostu, drugą Benedettę wtrącił do studni pustej, tej sa-

mej do której rzucił niegdyś głowę swej pierwszej ofiary.

Cudem jakimś obie mniszki ocalały. Oktawję prąd poniósł na brzeg, koło młyna, gdzie półżywą wyciągnęli wieśniacy. Krzyk Benedetty usłyszeli następnego dnia dopiero ludzie z Velate i wydobyli ją z tragicznej studni, gdzie wpółoszalała z trwogi widziała kości ludzkie i głowę kobiecą na dnie. Była to głowa Katarzyny di Meda. Bóg wie, jakie jeszcze straszne tajemnice kryła ta studnia!

Na miejsce zbrodni zjechała Komisja. Zdołała jeszcze wysłuchać spowiedzi umierającej Oktawji, która wyznała wszystko, nie zapierając się jednak swego przywiązania do Signory. „Życie byłabym za nią dała każdej chwili i daję je w istocie“.

Benedetta, odratowana, przewieziona została do Medjolanu, gdzie znaleźli się również w zamknięciu Arrigoni i dwie mniszki: Silvia i Kandyda.

„Kiedy Signora, ziejająca wciąż jadem nienawiści i pychy, podobniejsza do monstrum jakowegoś niż do niewiasty, usłyszała o tak okrutnych mordach i świętokradztwie, z jej winy zdarzonych, osłupiała i wstrząśnięta w sobie, spiorunowana, zmieniła w jednej chwili zachowanie się i myśli, jakgdyby cudem jakimś inny duch w to samo wstąpił ciało.

Tak wielką jest potęga sumienia i moc szlachetnej, od przodków odziedziczonej krwi, że chociaż przez zepsucie i gnuśność odrętwiała, zbudziła się niespodziewanie do płaczu i wielkiego za popełnione przestępstwa żalu i skłoniło ją. Stało się jawnem światu, że tu dokonywa się jeden z tych szczytnych przykładów serc wielkich, które upadłszy w głąb przepaści złowieszczych namiętności, zdołają wyrwać się zeń wysiłkiem nadludzkim iście, i wznieść się za łaską

bożą tak wysoko, że z niepokalanemi głowami iść mogą w paragon, i wzrósć w chwale, tak, jak niegdyś grążyły się w grzechu.“

Namiętna dusza Siostry Wirginji przeszła straszliwy kryzys. Krańcowa, nieznająca miary w miłości, jak w nienawiści, patrzyła niedawno jeszcze na śmierć Katarzyny okiem chłodnem, jakby na zabicie, w obronie własnej, złego psa. Była zresztą potomkinią ludzi, lekceważących życie cudze i własne.

Ale mord, dokonany przez kochankę na osobie jej przyjaciółek, prawie sióstr, musiał ją przerazić i wstrząsnąć. Jakby zasłona jakaś rozdarła się przed jej oczyma. Piękny gach, dziś straszliwy zbójca, wydał jej się szatanem, a przynajmniej wysłańcem piekła, cała miłość zmorą, której ulegała bezwolna, opętana przez „Maleficia“.

Taką będzie linja jej obrony. Obrony honoru, bo poza tem ona pragnie tylko pokuty, oczyszczając swą grzeszną duszę, w strumieniach łez.

Wyznaje wszystko i oczekuje sądu i kary.

* * *

Sąd duchowny rozpatrywał sprawę mniszek i Arrigoniego, kryminalny trybunał medjolański sądził zaocznie Osia i jego współników.

Po dwóch miesiącach, senat medjolański przez usta don Giovanniego di Salamanca ogłosił wyrok, skazujący Giampaola Osio „za okrutne mężobójstwo i inne ciężkie zbrodnie“ na karę śmierci na szubienicy: Dom jego został zrównany z ziemią, a na miejscu tem postawiono kolumnę z postacią Justitii i stosownym napisem.

Ogłoszono wysoką nagrodę dla tego, kto zbrodniarza dostawi żywego lub umarłego.

Jednakże Osio znikł bez wieści, a tylko ręk kardynała doszedł ukradkiem przesłany list, w którym winowajca stara się zwalić całą winę na obie swoje ofiary, dodając, że „biedna pani Marja Virginja“ niczemu winną nie była, dla siebie zaś błagając o pobłażanie i litość kardynała i dowodząc, że nie zasłużył na rzuconą nań ekskomunikę.

Nieszczęśliwa matka wygnańca, 84 letnia staruszka, musiała udać się do Senatu z prośbą o zapomogę.

(c. d. n.)

K. Bielańska



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



FRANCUZKI PRZECIWKO RÓW- NOUPRAWNIENIU?

W jednym z numerów amerykańskiego miesięcznika, p. t. „The World's Work” wydrukowany został artykuł p. Stephane Lausanne pod interesującym tytułem: „Czy kobiety francuskie uzyskają kiedy prawo głosu”? Autor artykułu odpowiada na to pytanie — przecząco, powołując się na... opinię „najwybitniejszych kobiet Francji”, do których zalicza prezydentowe: Millerand i Poincaré, cesarzową Eugenję, Sarę Bernhardt, oraz... panią Skłodowską-Curie. O polskim wielkiej uczoney pochodzeniu zdaje się wcale nie wiedzieć.

Po zaznaczeniu wielkiego wpływu, jaki kobieta francuska wywierała zawsze, chociaż nieoficjalnie, na politykę i rządy państwa, wspomniawszy panią Roland i Marię Antoninę i postawiwszy dość śmiałą tezę „że rewolucja francuska była z początku zwłaszcza jedynie pojedynkiem pomiędzy temi dwiema genialnymi kobietami” i że gdyby ich nie było, nie byłoby może tej rewolucji — przypisawszy dalej cesarzowej Eugenji, „personifikującej w sobie bardziej ducha epoki niż Napoleon III”, misję sprowokowania wojny francusko-niemieckiej, autor poprzez „salony” pani Adam, Waldeck-Rousseau i in. dociera do chwili obecnej i oświadcza, że jeśli kobieta francuska nie ma żadnych praw obywatelskich ani politycznych, to dlatego... że sama tego nie chce.

— Pięciokrotnie w przeciągu mej kariery dziennikarskiej — powiada p. Lausanne — miałem możność zapytywania wybitnych niewiast francuskich o zdanie ich w sprawie równouprawnienia kobiet. Za każdym razem spotkałem się z pogardą lub niechęcią dla wszelkich „głosowań”.

Pierwszą osobą na tej liście znakomitości pana Lausanne była cesarzowa Eugenja. Zapytał on ją, czy uważa za obowiązek kobiety brać udział w życiu politycznym kraju? Eks-cesarzowa z błyskiem żalu i namiętnego gniewu w oczach wykrzyknęła:

„Nie, o nie! Polityka jest okrutna, nie przynosi ona kobietom nic, prócz nieszczęścia i łez!”

Po raz drugi zadał swe pytanie p. Lausanne pani Poincaré, która mu na to odpowiedziała, że nienawidzi polityki. „Jednakże — nastawał dziennikarz — słyszałem, że mąż pani Prezydentowej uważany jest ogólnie za zwolennika praw kobiecych”?

„Tak” — odparła prezydentowa — „rzeczywiście, w domu tym są zwolennicy haseł feministycznych. Hołduje im mój mąż — nie ja”.

Pani Millerand zarzuciła amerykańskiemu feministkom brak poszanowania tradycji. „My Francuzki”, rzekła „mamy za sobą dwadzieścia wieków kultury i tradycji historycznej. To nam nie pozwala zerwać tak prędko z wiekowymi zwyczajami i poglądami”.

Na zebraniu towarzyskiem u Sary Bernhardt ktoś z gości opowiadał właśnie o pierwszej posłance do kongresu waszyngtońskiego, pani Jeannette Rankin, która dowiedziawszy się podczas sesji parlamentarnej o wypowiedzeniu przez Amerykę wojny państwu niemieckiemu, rozplakała się, nie zważając na obecność wszystkich członków kongresu. Sara Bernhardt wykrzyknęła z zapałem: „Rozumiem ją doskonale i na jej miejscu uczyniłabym to samo! Płakałam z bólu, gdy się dowiedziałam, że Niemcy wypowiedziały wojnę Francji — i płakałam z radości, słysząc, że Ameryka im z kolei wypowiedziała wojnę. My kobiety nie umiemy wyzbyć się uczuciowości: niema dla nas przeto miejsca na zebraniach parlamentów”.

Ostatnią „wielką Francuzką” jest zdaniem pana Lausanne, Curie-Skłodowska. Nie może on jej wprawdzie przypisać haseł antyfeministycznych, ale za to opowiada dzieje pewnego posiedzenia Akademii Naukowej, podczas którego była mowa o zużytkowaniu funduszy, przeznaczonych przez rząd na cele naukowe.

Przemawiały różne wielkości i sławy, a p. Curie wciąż milczała. Wreszcie poprosiła o głos i wtedy — powiada autor — cisza zaległa salę. Wszyscy z natężoną uwagą słuchali jej słów, a rektor uniwersytetu paryskiego Dr. Appell, nachylając się ku panu Lausanne, szepnął mu do ucha:

„Widzi pan, tak jest u nas we Francji: kobieta nie ma wprawdzie prawa głosu, ale za to głosu jej słuchają wszyscy”.

„I wtedy dopiero zrozumiałem, powiada autor — dlaczego kobieta we Francji nie żąda dopuszczenia jej do polityki. Wie ona, że polityka jest raczej znakiem słabości, niż siły. Obawia się, że udział w machinacjach politycznych obni-

ży jej poziom moralny. Prawdziwa kobieta potrafi zawsze zaprowadzić mężczyznę tam, gdzie zechce — o ile go przewyższa swym intelektem”.

Tudno coś odpowiedzieć na tego rodzaju twierdzenie „prawdziwa kobieta” potrafi z pewnością zaprowadzić mężczyznę „tam gdzie zechce” — i niekoniecznie nawet potrzebuje go „przewyższać pod względem intelektualnym”. Ale dlaczego stąd ma płynąć wniosek, że nie należy kobietom udzielać równych praw obywatelskich? Czyżby autor artykułu był tego zdania, iż rzecz zdobyta podstępem i obłudą lepsza jest od uzyskanej na drodze prawa i sprawiedliwości?

Z. B.

W Y C H O W A N I E FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIET

JAZDA KONNA

(Ciąg dalszy)

RZĄD, RYNSZTUNEK I STRÓJ

Wszystko to naturalnie w jak najlepszym gatunku i eleganckie. Elegancję osiąga się tylko przez zupełną prostotę i czystość.

Siodło (mówimy tylko o jeździe po męsku) angielskie. Tybinki (skrzydła) średnio podane do przodu, nie zanadto naprzód „po włosku”. Te ostatnie nadają się specjalnie do skoków. Siodło normalne powinno być bardziej uniwersalne i umożliwiać głębszy dosiad (o czym na właściwym miejscu).

Uzda sportowa — tylko wędziło — dobrana do konia.

Jeżeli koń jest „twardy”, wędziło musi być „ostre” t. zn. cienkie; jeżeli koń ma pysk miękki, wędziło musi być „łagodne”, grube.

Dla pewności, ażeby siodło nie zsuwało się do tyłu i dla estetyki — można używać napierśnika.

Wytok potrzebny dla koni ostrych, niespokojnych, albo zarzucających głowę, zastępuje on częściowo munsztuk.

Czaprak najlepiej — filcowy. Cienki, płócienny nie tak zabezpiecza grzbiet koński od uderzeń nieumiejętnego jeźdźcy i od odparzeń.

Koń powinien posiadać derkę cienką, którą się go okrywa przy oprowadzaniu, gdy jest zgrzany po jeździe i którą można go zasłaniać od kurzu i much, gdy stoi. Trzymanie konia pod ciepłym okryciem należy unikać, ażeby go nie wydelekować zbyt. Lepiej dbać, żeby stajnia była ciepła.

Ubranie do konia musi być lekkie, nawet w zimie wystarczy zwykły żakiet, gdy włoży się pod spód sweater. Ponieważ jednak na koniu łatwo się przeziębic, baczniejszą uwagę zwrócić na bieliznę. Unikać należy białej bielizny, która nie wciąga potu i utrudnia porównanie, najhigijeczniejsze są cienkie, bawełniane trykoty, odpowiednie także i ze względu na wygodny fason, koszula szczególnie dłuższa zagina się, fałduje i gniecie.

Co do wyglądu stroju to odróżnić można dwa typy amazonek. Jedne to wzorowane na dawniejszych, tradycyjnych modach, bardziej stylowe. Długa rozcięta spódnica cloche, lub dwa cloches połączone jest bardzo zbliżone do dawnych amazonek z trenem. Do tego długi żakiet do figury również cloche, na głowie sztywny melonik czy płaski cylinderek, często otoczony woalem.

Barwy ciemne, najlepiej czarne, granatowe lub ciemno-szare, zawsze jednolite, ożywione jedynie jasną kamizelką lub krawatem przy angielskiej bluzce.

Strój bardziej „modern” to spodnie fasonu breeches, wpuszczone w długie buty lub wysoko sznurowane buciki czy sztylpy. Długie buty powinny być miękkie, lecz do chodzić pod samo kolano. Najlepiej trzyma się cholewa, gdy ma z tyłu wpuszczony fiszbin, rzemyk mniej pomaga. Do spodni używa się czasem długich, cloche'owych żakietów, równie dobrze jednak nosić można zwyczajne, sportowe kurtki.

Na głowę odpowiedniejsza tu będzie dzokejka. Przy takim stroju nie razi większa różnorodność barw. Dobrze wyglądają przy czarnym żakiecie spodnie pepita lub inne jaśniejsze. Może też cały kostium być jednego koloru, ale w takim razie z jakiegos angielskiego materiału, takiego jakich się używa na kostjomy podróży i t. p.

Dzokejka czarna, aksamitna, koloru kostjum lub nawet zupełnie innej barwy.

Który z dwóch tych typów stroju jest odpowiedniejszy? — Stanowczo i zawsze, gdy można, spodnie.

Spodnie są lżejsze od spódnicy, łatwiej w nich wsiąść na konia, nie ma skomplikowanego zapinania i rozpinania przy wsiadaniu i zsiadaniu, nie ma tak bardzo przeszkadzającego w jeździe poprawiania i układania po każdym gwałtowniejszym biegu lub skoku.

Spódnica zwykła, rozpinana z przodu i tyłu rozwiewa się na wietrze, odsłaniając kolana, trzeba więc koniecznie mieć pod nią takiesame, obcisłe spodnie. A więc podwójny ciężar, podwójny koszt

i gorąco. Mieć pod spódnicą tylko trykot, niemożliwe jest i ze względu na wygodę. — Nie można mocno trzymać konia kolanami okrytymi samą pończochą lub trykotem. Miejsce to powinno jak najsilniej przylegać do siodła, które gniecie i ociera.

Spódnice podwójne cloches są moim zdaniem jeszcze mniej wygodne. Ponieważ na tak złożoną część garderoby zużywa się bardzo dużo materiału, więc jest to ogromnie ciężkie i obciąża nadmiernie biodra. Noga jest tu schowana każda w oddzielną spódniczkę i to szeroką, mimo więc najlepszego kroju kolano suwa się w niej i znów nie może być mowy o przyleganiu dokładnem i pewnem do siodła.

Każda spódnica łaskocze konia i jest wiele koni, które się płoszą przy jej niespodzianem dotknięciu, jest też niebezpieczna w razie upadku, gdyż łatwo może się zaczepić o siodło czy przydepnąć nogą w strzemienu. Nieraz zdarzają się wypadki, że koń wlecze amazonkę za suknię.

A więc spodnie i tylko spodnie, lekkie, zapewniające swobodę ruchów, mocny dosiad, bezpieczeństwo.

Mimo tylu zalet, przemawiających na rzecz spodni, uznają, że dla pań tęgich, a raczej zbyt tęgich w biodrach (co niestety tak często się widuje) a także dla osób, które mają niezbyt kształtne nogi, grube kolana i uda lepiej będzie włożyć się w spódnicę.

Maskuje ona poniekąd te wszelkie braki, a zresztą fakt niezaprzeczony, że od kobiety w spodniach dla czegoś więcej się wymaga niż od kobiety w spódnicy.

Rękawiczki do konia powinny być zawsze znacznie luźniejsze niż używane na codzień, tak żeby zupełnie nie tamowały swobodnego poruszania palcami i nie przeszkadzały silnie trzymać wodze. W zimie jest to szczególnie ważne ze względu na możliwość odmrożenia.

O ostrogach i szpicrucie pomówię na innym miejscu, gdyż są to „pomoc”, środki powodowania koniem.

(c. d. n.).

I. F.

STRZAŁKI

ROZMYŚLANIA WIELKOPOSTNE.

Karnawał. Warszawa tańczy, — a za przykładem stolicy tańczą miasta, miasteczka, miściny...

Zaiste, silna jest tradycja zapust w Polsce. Pomimo narzekania na złe czasy, podatki, drożyznę, bawią się ludzie — jak kto umie, jak kto może. Czasem — nie może,

lecz też się bawi. Trudno! Karnawał!.. Prawda, że suknia balowa to koszt niewielki: kilka chusteczek do nosa jedwabnych, haftowanych lub batikowanych, odpowiednio podpiętych — ot, i piękna toaleta gotowa! Tylko te wachlarze, przepaski na głowę i fantazje z piór strusich są niezwykle drogie, ale przecież cośkolwiek należy mieć na sobie. Pewien mędrzec, będąc przypadkowo na balu, zastanawiał się nad zagadnieniem, co kobiety pokażą, jako dekolt, w przyszłym karnawale i doszedł do wniosku, iż, niestety, mogą ukazać jedynie toż samo pomalowane na odmienny kolor, aby mężczyźni doznali miłego wrażenia, że widzą rzecz nową.

Cudnej Pani, hołdującej niewolniczo modzie nagości, mam chęć niezmierną szepnąć coś do uszka — tak cichutko, aby nie usłyszał żaden przedstawiciel płci brzydkiej:

— „W imię piękna, wdzięku i własnego dobra — mniej dekoltu!..”

To „ciało”, które mężczyzna widzi rano, w południe, wieczorem, w biurze, w tramwaju, w wagonie, w aeroplanie, na ulicy, domu, w kinie, w teatrze, w cukierni, — stępiło do cna jego wrażliwość, uczyniło go apatycznym na największe cuda przyrody. Współczesny młodzian, trzymając w tańcu półnągą danserkę, patrzy w nią tak oświałym wzrokiem, iż naprawdę, czyni wrażenie człowieka, któremu z nadmiaru słodyczy jest już zupełnie niedobrze.

„Gdzieżeście wy czasy sukienek batystowych, zabaw szalonych a niewinnych, serc szczerych i prostych...”

Wanda Jacobson Skrodzka

Z KSIĄŻEK

Juljusz Kaden-Bandrowski: „Przymierze serc.” Tow. wyd. „Ignis,” 1924 r.

Z ostatniej książki Kadena wyziera doskonała wiedza o tem, jakby powinno być; autor jej ma w sobie nieomylny probierz i bardzo silną etyczną miarę spraw życia.

Ukazanie tych spraw pod kątem „serca” i uwagi na cierpienie ludzkie nie obarcza tej książki tendencją, nie zabiera jej nic z wartości i zamiarów artystycznych, które ją stworzyły.

Poprzez mistrzostwo obiektywnej obserwacji, które niegdyś uczyniło „Generała Barcza” dla wielu utworem, stojącym „poza dobrem i złem” (tak ukrytym zdawał się tam stosunek osobisty autora do rwącego nurtu życia, które dawał); poprzez rozwiązywanie zagadnień czysto artystycznych: konstrukcji, obrazowania, sposobów stawiania i wplatania ludzi w akcję, ważenia wartości szczegółów, narzucania wszelkiego rodzaju sugestji; poprzez zdumiewająco świadome posługiwanie się słowem — wpływa w „Przymierzu serc” głębokie, męskie współczucie.

Ten ton współczucia nie ma bezpośredniego odpowiednika słownego; ginie nieraz w szybkim tempie wydarzeń, w lekkiem wykoszlawieniu groteski, w migawko-

wych sferach, w obiektywnym stosunku autora do tych właśnie, którym współczuje, w niezapominaniu o śmieszności ich najsmutniejszej nawet sytuacji, — lecz tem nie mniej stanowi nieprzerwany prąd głębinowy książki, czyniący ją pełną moralnego sensu i mądrości.

Tu technika Kadenowska, nawszkroś modernistyczna, u niego poza tem wybitnie indywidualna, dla czytających jeszcze trudna, — płata im raz po raz figla. Przyzwyczajeni do otrzymywania gotowego materiału uczuciowego, do przewagi melodii, — gubią się wśród splotu najprzeróżniejszych dysonansów i bogactwa harmonizacji.

Jak szara nitka w barwnym wyszyciu niedostrzegana, cierpienie ludzkie tonie bezimienne w ciągłym narastaniu i zmienności życia. Dzień powszedni wiję się długą wstęgą, przeplatany leniwem, najedzeniem, opilem świętem. „A wszędzie i codzień pełno rwetesu, gadania, dreptania, wysiłku, prawdy, kłamstwa, radości, złudzeń, — pracy dla zewnętrżności życia; wśród tego tartasu i zgiełku błąka się gdzieś i płacze dusza ludzka, — słysząc ją ledwie.

Kaden daje w swych książkach życie w tej postrzępionej, mozaikowej formie, przesuwając przed oczami kawałeczki „dobra i zła”, lubując się niemal w tem ciągłym tak i nie, które stanowi istotę życia.

Ludzie Kadena czynią; mówią mało i słowami nie motywują swych czynów. Trzeba więc umieć czytać między wierszami — niedopowiedzenia, niedopowiedzenia życia.

Jakże dalecy jesteśmy od łagodzącej kanty, pozbawionej dynamizmu, pełnej uczuciowego frazesu sztuki z końca XIX w. Nie dano nam tu rozrzewnić się serdecznie z autorem, ani nasycić jakimś zmartwieniem w rozwlekłym rozpamiętywaniu przy zimowym zmierzchu na wsi. Nie snuje tu opowiadania cichego, marzycielskiego głosu przeszłości romantycznej, lecz szorstko przerywa nas od wrażenia do wrażenia, od szczegółu, do szczegółu, od nastroju do nastroju, pośpieszne tempo dzisiejszego, miejskiego życia.

i mimo to, mimo zwięzłości i unikania nadmiaru słów, znajduje Kaden miejsce na przesłaniczne chwile wczucia się w jakiś szary, mokry dzień, na zachwyt nad zbożem, w którym kryje się delikatne gniazdko chróściela, na gorzkie zamyślenie nad rzeką, po której płyną bez końca wywożone przez Niemców pnie: „kości mojej nieszczęśliwej Ojczyzny.”

Liryzmem najpiękniejszym nasycone są stronnice: „Tu jestem teraz — i czekam”, stanowiące introdukcję i kwintesencję duchową książki — i „Na forcie Biała Gwiazda” w której Kaden zdobywa się na wielką szczerą wyjawienia tego, o czem teraz nikomu mówić nie można — i zwierza smutek swój, wstyd i rozpacz milczącemu, „pasącemu się cicho wielkim zielonym światem zwierzęciu.”

— Książki Kadena zasługują na specjalne studia — tem więcej, że wciąż jeszcze panuje nieporozumienie między czytelnikiem, a tym autorem, tak bardzo świadomym

nie utalentowanym i tak niezłomnie urabiającym swą twórczość.

Nieporozumienie, którego winą leży po stronie czytelnika.

Jeżeli jednym z zadań artysty jest odnalezienie w codziennej rzeczywistości jej wewnętrznego wyrazu — i wykonanie tej „roboty” w taki sposób, by segregacja i tonowanie wartości nie czyniły wrażenia sztucznych, ani tendencyjnych, by artysta poprzestawał (lub wznosił się do...) na roli jasnowidza czy też przewodnika, który odnajduje sens, duszę wydarzeń, ginących w toku życia i niezauważoną — to Kaden zadanie to wypełnia.

Znalazł formę i nie zgubił się w niej, formę dla wyrażenia w słowie dynamizmu życia, a co jeszcze trudniejsze dla wywołania rzeczy, niedających się pochwycić intelektem: daje nam on możliwość zetknięcia się z tem, co jest podświadome, z tem co jako bardzo ważne, nieraz najważniejsze, płynie w nas pod, lub obok codziennego, czynnego i w słowa ujętego, działania. Muzykę uczuć, muzykę zdarzeń, niedostrzegalną pajęczynę duchową, która rozciąga się pomiędzy nami, ludźmi, i pomiędzy nami, a rzeczami i wypełnia niejako przestrzeń, tworząc stany radości i nieznoszące, okrutne stany rozpacz. (Odwilż, Dziki człowiek, Na forcie — i inne, wszystkie prawie nowelle tego zbioru.)

Czytając, czujemy tu jakgdyby sięgnięcie do nieznanego źródła wzruszeń naszych i czynów — i ogarnia nas lęk i niepokój, jak wtedy, gdy przesuwają się obok nas cień Istotnego lecz Niewiadomego.

W „Przymierzu Serc” przebił się przez lód obiektywnej obserwacji gorący, cudowny strumień wiedzącej miłości.

N. Samotyłowa

* * *

Franciszek Dąbrowski Spółdzielnie uczniowskie Warszawa 1925. Wydawnictwo Związku Polskich Stowarzyszeń Spożywców.

Polska literatura spółdzielcza wzbogaciła się o nowe dziełko, bardzo, a bardzo pożyteczne — bardzo na czasie.



Jest niem książeczka F. Dąbrowskiego p. t. „Spółdzielnie uczniowskie”.

Wogóle trzeba na wstępie zaznaczyć, że ta gałąź nowego piśmiennictwa rozwija się pomysłnie i nader interesująco. Warto przypomnieć, że pod względem ilości wydawnictw, poświęconych zagadnieniu kooperacji stoimy na jednym z pierwszych miejsc w Europie. Wystawa spółdzielcza, która miała miejsce w Gandawie wykazała, że pod tym względem możemy się porównać tylko z Anglią — odczynną spółdzielczości. Niestety ten pomysłny stan rzeczy ma swoją okropną odwrotną stronę. O ile bowiem chodzi o wysokość nakładów, to znów okazuje się, że stoimy pomiędzy ostatnimi. Tak jest — najmniejsze najpopularniejsze broszury, które wszędzie na świecie idą w setkach tysięcy egzemplarzy, u nas wydaje się w tysiącu, w dwóch. — Nawet wśród kooperatystów stowarzyszonych zainteresowanie książką jest o wiele za małe — coż dopiero mówić o ludziach z poza kooperacji.

Nasze warstwy kulturalne inteligentne, a nawet, aby zwięzić to koło — nawet tylko ludzie ideowi z pośród tych warstw zupełnie się piśmiennictwem spółdzielczem nie interesują. Tymczasem jeśli już kogo wogóle obchodzi sprawy społeczne, to nie może tej literatury pominąć. Spółdzielczość gra już dzisiaj zbyt wielką, zbyt poważną rolę w przekształcaniu się starego świata na nowy. A w dodatku łączy się tak ściśle z kłopotami życia codziennego, że doprawdy, powinna bliżej obchodzić szersze kręgi obywateli, a już książki jej poświęcone muszą zaciekać zwłaszcza kobiety.

Tymczasem nawet zeszłoroczna międzynarodowa wystawa kooperacji nie była należycie omówiona w naszej prasie. A naprzykład o takim fakcie jak to, że Związek Polskich Stowarzyszeń Spożywców ma już kilkadziesiąt wydawnictw na swem sumieniu — wydawnictw przeważnie stojących na t. zw. europejskim poziomie — że nadto wydaje kilka pism — to już prawie nikt nie wie.

Ostatniem wydawnictwem tego Związku jest wspomniane dziełko pana F. Dąbrowskiego p. t. Spółdzielnie uczniowskie. Książka jego jest doskonała, a mam wrażenie, że jest też bardzo oryginalna — Nie znam tak dobrze tej sprawy, ale zdaje mi się, że ruch spółdzielczy w szkołach jest nieomal, że polskim wynalazkiem — i w Polsce osobliwie mocno się rozwija.

Książka p. Dąbrowskiego jest bardzo rzeczowym podręcznikiem dla nauczycieli i nauczycielek, którzy chcą ruch spółdzielczy w swych szkołach propagować, a oraz także dla starszej młodzieży, zajmującej się prowadzeniem sklepów szkolnych. Zawiera opis organizacji kooperatyw szkolnych, wzory ich rachunkowości — wykresy, ilustracje. Bardzo zajmujący jest rozdział, dający obraz pracy w spółdzielniach różnych szkół w Polsce — i bardzo pożyteczny jest rozdział, dający wskazówki, jak organizować pogadanki i czytelnictwo spółdzielcze w szkołach. Na końcu książki znajduje się dział informacji i skorowidzów. Oto książka, która powinna się znaleźć w każdej szkole powszechnej.

m.

Z TEATRÓW

TEATR MAŁY

„Zamiana“ (L'échange). Dramat w 3-ach aktach Pawła Claudela.

Przekład J. Iwaszkiewicza, inscenizacja i reżyserja Aleks. Węgierki, dekoracje St. Sliwińskiego

Dramat Pawła Claudela, wystawiony w teatrze Małym, nie należy do codziennej strawy teatralnej, może jednak publiczność warszawska, której od dłuższego czasu teatry stołeczne dają repertuar o wysokim poziomie (Szekspir, Zorilla, Shaw, Romain Roland, Pirandello) — przyjmie i tę sztukę z należytem zrozumieniem.

Dwa teatry w Polsce: teatr im. Słowackiego w Krakowie i teatr Mały w Warszawie wystawiają sztuki Claudela — którego talent zajął czołowe miejsce w twórczości współczesnej Francji.

Świetny przekład Jarosława Iwaszkiewicza, szczęśliwie pomyślana inscenizacja Węgierki — uczyniły z dramatu Claudela widowisko pierwszorzędne.

Porywa z zagrody ojcowskiej młodą i czystą dziewczynę, człowiek jak płomień gorący i niespokojny, o duszy wrażliwej, smaganej wiatrami stu namietności, stu nieokreślonych pragnień i tęsknot, gnających go w daleki i szeroki świat.

Idzie za mężem słodka i cicha dziewczyna dlatego, że go bezgranicznie kocha i dlatego, że jest jego ślubną żoną; dzieli z nim wiernie jego tułaczę życie pełne nędzy i niepokoju — bo tak każe jej święte prawo miłości i święta religia praojców; jest zawsze u jego stóp i jak wierny pies, wpatrzony w oczy swego pana, — a gdy mąż snuje gorączkowe plany swych nieokreślonych pragnień i porywów — w niej łka tęsknota do własnego domu, do własnej zagrody, gdzie razem mogliby pędzić życie pełne mrówczej pracy. Z tej pracy codziennej i skrzętnej bije dla niej niewygasające światło poezji i piękna — gdyż praca jest cudem życia, jak cudem morza jest szmer fal równo a nieprzerwanie uderzających o brzeg.

Usta Marty ze słodkim uśmiechem snują opowieść o poezji pracy i codzienności, o wdzięku i radości, którą ma w sobie życie zwykłych ludzi, ale dla Ludwika Laine mają słowa te smak goryczy, mają w sobie odstrasające ziarno nudy, posmak banalności

By mieć możliwość kupienia sobie wolność — (o jakże drogo płaci się za wolność) sprzedaje on żonę swą za brzęczące złoto dolarów bogaczowi, Tomaszowi Pollock. Weźmie dużo, dużo pieniędzy za swoją małą, „słodką goryczkę“, pójdzie w szeroki świat, który nie ma granic, pójdzie zdobywać życie. Ale ta sama fala namietnych porywów, — która poniosła go na swym lśnącym grzbiecie w świat daleki, przyniesie martwego do stóp żony — jak fala morską przynosi na brzeg ofiary — które pochłoneła.

W dramat Ludwika Laine i Marty wplatają się jeszcze dwie inne postacie: To-

masz Pollock, dla którego nie istnieje nic, czego by nie można było kupić, i czego by nie można było sprzedać i demoniczna Lechy. — W świetnej interpretacji p. Broniszówny za postacią Lechy szło czerwone światło perwersji i hysterji — które w akcie 3-cim buchnęło krwawym płomieniem podpalonego jej ręką domu Tomasza Pollock

Pan Samborski — jako Tomasz Pollock mroził krew w żyłach, gdy śpiewał swój straszny hymn uwielbienia dla wszechmocy dołara. Panna Malicka jako „słodką goryczkę“ i p. J. Maliszewski jako Ludwik Laine — dali postaci pełne wyrazu i charakteru.

a.

ROZWIĄZANIE REBUSU GAMASTONA

Rozwiązanie rebusu Gamastona, umieszczonego w № 21 „Bluszczu“

„Pamiętać macie pałace panie, że niktyna działa choć wolno, ale zabija.“

Pierwsze trafne rozwiązanie rebusu nadesłała p. Anna Sołtysikowa ze Lwowa, ul. Nabelaka 26, której też Redakcja przyznaje niniejszym nagrodę w postaci książki K. Bielańskiej „Profile Romantyczne“

Dalsze trafne rozwiązania nadesłały panie:

Julja Golańska z Olkusza; Br. Dąbrowska z Częstochowy; Hanna Jucewiczowa z Ostrowia; Hr. Zamoyska z Warszawy, Polna 78; Antonina Grodzicka ze Zwierzynca Ordynackiego; Zofja Gontarska z Sosnowca; Marja Kiemińska z Korolówki; Aniela Ławczowa z Rzeszowa; Marja Notwingowa z Częstochowy; M. Chmielowska z Łucka; Helena Burhardowa z Częstochowy; Helena Szczepańska ze Lwowa; Aleksandra Merkiś z Warszawy; Henryka Olełdowa ze szkoły rolniczej w Niegłosach; Janina Krotowska z Poznania; Zofja Cierniakowa z Warszawy; Jadwiga Kosecka z Piaszkowej; Janina Jankowska z Chorzeli; Marja Kalina z Warszawy; Eugenja Kurczyńska z Pragi; Dzierżyńska Wanda z Warszawy oraz Karol Chowaniec z Leszna.

Pozatem rozwiązania trafne, chociaż nieco odmienne stylistycznie (zamiast „pałace panie“ — „pałaczkii“, „pałace panny“, „panie pałace papierosy“ i t. d.) nadesłały panie:



Hanna Woźniakowska z Białegostoku; Janina Żelewska z Puław; Janina Hłaskowa z Częstochowy; Zofja Jaszowska z Radomia; Nina Dolnicka z Warszawy; Władysława Świebodzińska z Prandocina; Marja Kazowska z Kielc; Halszka Ostrowska ze Zdzarów oraz A. Wojtecki z Warszawy.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska“ ukazały się książki następujące:

H. Mościcki „Pod berłem Carów“, szeregi dokumentów historycznych z okresu rządów carskich na ziemiach polskich, począwszy od rzezi praskiej, a skończywszy na ucisku popowstaniowym ludności polskiej, zwłaszcza w t. zw. „gubernjach zachodnich.“

Z Filareckiego Świata. Zbiór wspomnień z lat 1816—1824, wydał H. Mościcki. Obie te książki wydane bardzo starannie i ilustrowane licznymi reprodukcjami współczesnych sztychów i litografii.

Joachim Lelewel. „Pamiętnik z roku 1830—31“ z przedmową i przypisami Jarosława Iwaszkiewicza.

St. Wyspiański Dzieła t. I., zawierający następujące utwory: „Batory pod Pskowem“, „Daniel“, „Królowa Polskiej Korony“, „Legenda“ (I i II).

J. W. Goethe „Elegje rzymskie“ (w przekładzie Leopolda Staffa).

Almanach Biblioteki Polskiej na r. 1925 ozdobnie wydany i zawierający cały szereg utworów pióra wybitnych autorów, jak Żeromski, Reymont, Kasprzowicz, Tetmajer, Przybyszewski, prof. Kleiner, J. Tuwim, Makuszyński i t. d.

* * *

Tow. „Ignis“ wydaje w dalszym ciągu dzieła Jacka Londona, w autoryzowanym przekładzie St. Kuszelewskiej. Ukazała się obecnie w druku opowieść tego autora p. t. „Przygoda.“

* * *

Nakładem Księgarni św. Wojciecha wyszły z druku następujące dzieła z dziedziny apologetycznej i religijno-moralnej:

Ks. Dr. Władysław Szczepański „Jezus z Nazaretu w świetle krytyki.“ Sześć konferencji, wygłoszonych przed Prezydentem Rzeczypospolitej i jego otoczeniem, a przedstawiających postać Chrystusa w oświetleniu najnowszych badań naukowych.

O. J. Woroniecki „Katolicka etyka wychowawcza.“ Część 1 sja analityczna. Przewodnią myślą autora było wykazanie nierozdzielnej łączności między etyką a pedagogiką. Przedstawił on w tem dziele całokształt zagadnień etycznych z uwypokowaniem ich znaczenia wychowawczego, według zasad św. Tomasza z Akwinu. Wykład poważny, lecz dostępny dla ogółu czytelników inteligentnych.

Ks. Dr. J. Cierniewski „Katolicyzm a nasze odrodzenie narodowe.” Szkic historyczno-moralny. Autor, znany publicysta, nawołuje do odrodzenia narodowego przez rozbudzenie w duszach uczuć religijnych, podkreślając, że naród polski ma specjalne dane po temu, aby należycie zrozumieć i odczuć wartości katolicyzmu oraz, że „chwila obecna wymaga uwzględnienia w religii strony etycznej i podkreślenia społecznego znaczenia katolicyzmu.”

Ks. J. Urban „Na ślubny kobierzec.” Książka zawierająca wskazówki etyczne dla młodzieży, wstępującej w związku małżeńskie, a uwzględniające zarówno wymagania religii, jak i potrzeby społeczne.

* * *

Nakładem Księgarni Gebethnera i Wolfa wyszły następujące nowe wydawnictwa, dotyczące pieśni polskiej:

Julja Baranowska-Borowska „Święta pieśni dzieci polskich.” Piosenki, zawarte w tym zbiorze, stanowią program „Święta pieśni,” uroczystości corocznej, w czasie której dzieci ze szkół powszechnych całego miasta wykonywają kilka jednogłosowych utworów religijnych, hymnów i pieśni narodowych i ludowych. Zbiorek ma również na celu ustalenie tekstów i melodyj naszych utworów pieśniowych, a tem samem zamierza wpłynąć na ich poprawne wykonanie.

Stanisław Kazuro „Polska pieśń ludowa i jej znaczenie dla kultury narodowej.” W pracy tej znany pedagog muzyczny zwraca uwagę społeczeństwa na konieczność utworzenia lotnych kapeli ludowych dla szerzenia kultury pieśni, — utworzenia filharmonii ludowej i załatwienia palącej sprawy przygotowania nauczycieli śpiewu dla szkół ogólnokształcących.

TRAWNIKI

Umiejętnie założone i starannie utrzymane trawniki decydują często o piękności ogrodu spacerowego. Stanowią one tło, na którym rysują się inne części składowe, t. j. skupiny drzew i krzewów oraz kwietniki. Im piękniejsze tło, tem całość się lepiej wydaje. Dlatego należy trawnikom poświęcić nieco uwagi i starania, a teraz właśnie odpowiednia po temu nadchodzi pora.

Wielka ilość roślin, pokrywająca zwartym gąszczem trawnik parkowy, silnie wyczerpuje ziemię, należy więc glebie zwracać

cać składniki utracone, a równocześnie dbać o utrzymanie powierzchni jej w należyłym stanie.

Jeżeli trawniki w jesieni nie zostały posypane przetrawionym nawozem (np. wyrzuconym z inspektów), albo żyznym kompostem, to jeszcze teraz można nim poproszyć całą powierzchnię. W ostre zimy takie pokrycie skutecznie zabezpiecza trawę od wymarzania. Teraz też można polewać trawniki gnojówką, nawet nierozcieńczoną, a w odleglejszych częściach parku nawozami kłocznymi.

W wielu okolicach naszego kraju materiałem opałowym jest drzewo i torf. Oba te paliwa dają popiół, zawierający obfite ilości potasu, składnika bardzo cennego przy zasilaniu trawników. Największą wartość posiada popiół z drzew liściastych. O ile ziemia jest zamarznięta, to można posypywać ją popiołem świeżym, bezpieczniej jednak gromadzić go w miejscach, zabezpieczonych od deszczu, np. w skrzyniach pod szopą, przetrzymać go tam ze dwa tygodnie, poczem może być bez obawy rozsiewany nawet w okresie wzrostu traw. Dla mniejszych ogródków można przyrządzać polewkę w ten sposób, że do beczki lub kadzi wrzuca się czystego krowieńca (odchodów bydłych), nieco ekskrementów kłocznych, pomiotu ptasiego, popiołu drzewnego, względnie i pewną ilość nawozów pomocniczych (sztucznych) zalewa się to wszystko gnojówką lub wodą, miesza się dokładnie rano i wieczorem przez tydzień do dwóch, i tak przyrządzonego zasilku używa się w stanie rozcieńczonym do polewania trawników. W okresie zimowym stężenie może być większe, w letnim zaś wystarcza dodatek od 1 litra do 5 na 20 stolitrową konewkę wody, zależnie od stężenia samego ekstraktu i częstotliwości polewania trawników roztworem. Dobre usługi oddają też nawozy pomocnicze. Ponieważ trawa, którą ścinamy i uprzątamy, wyczerpuje z ziemi azot, kwas fosforowy, potas i wapno, więc te same składniki trzeba ziemi zwrócić. Dla mniejszych trawników zestawiamy mieszanke nawozową w ten sposób, żeby (wg. Wagnera) na ar, czyli 100 m² powierzchni trawnika rozsiał 8 kg. mieszaniny, zawierającej: 13—14% fosforu, 4% azotu, 10% potasu. Na rozległe trawniki dajemy na ha: 8 ctn. kainitu i 4 ctn. superfosfatu w ciągu zimy, a gdy się wegetacja obudzi, rozsiewamy dwukrotnie w odstępach dwutygodniowych, po 2 ctn. saletry chilijskiej. Dawka popiołu drzewnego pozwala zaoszczędzić kainitu, a gnojówka wpływa na zredukowanie ilości najdroższej ze wszystkich nawozów saletry chilijskiej.

Trzeba zwracać baczną uwagę, żeby nawozy zostały równo rozsiane, inaczej wytworzą się ciemne plamy lub smugi, a gdzie padnie za dużo nawozu, mogą powstać goliżny wskutek wypalenia. Więc kto nie ma wprawy, niech podzieli całą ilość nawozu na dwie równe części i rozsiewa je na krzyż, albo niechaj rozpuści nawóz w wodzie i poleje trawniki roztworem.

Jeśli nie mieliśmy możności dać kainitu w ciągu zimy, ani bardzo wcześniej na wiosnę, to lepiej zastąpić go skoncentrowanymi solami potasowymi w ilości o połowę mniejszej na wagę.

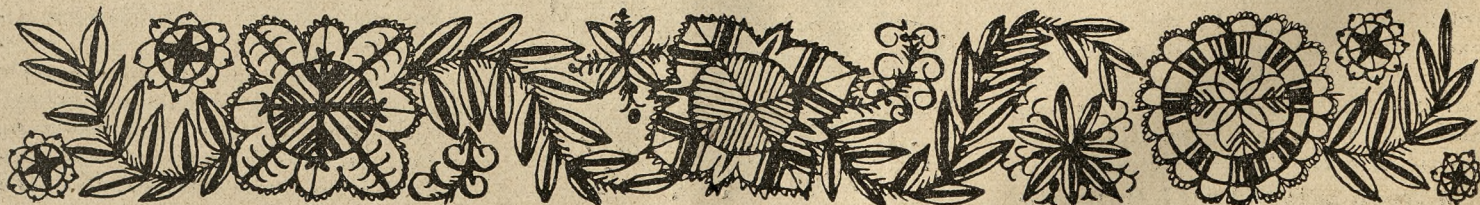
Oprócz powyższych nawozów należy co 3 do 5 lat zasilać trawniki wapnem, które nie tylko potrzebne jest do życia roślin, ale przyczynia się do oczyszczania trawników z mchu. Wapno powinno być palone, sproszkowane, ale nie zlasowane, a więc bądź wapno palone mielone, którego wystarczy 8 do 10 ctn. na ha, bądź miał wapienny w ilości o 50 do 100% większej. Trzeba jednak pamiętać, że nie można wapna wysiewać razem z innymi nawozami, ponieważ łączy się z nimi chemicznie i niweluje, albo przynajmniej powstrzymuje ich działanie.

Plagą wielu trawników jest mech, zaślepiający całą powierzchnię ziemi, wskutek czego trawy znacznie gorzej rosną. Mech ten należy corocznie wygrabić ostremi grabiami, najlepiej wczesną wiosną, gdy ziemia jest dobrze wilgotna. Energetyczne wygrabianie ma i tę dobrą stronę, że powierzchnia ziemi zostaje spulchniona; stare, dobrze zakorzenione trawniki możemy grabić lub bronować tak silnie, że poczerwnieją, bez obawy zniszczenia roślin. Przeciwnie, odżyją one dzięki temu jeszcze bujniej. Przy wiosennym grabieniu ulega zmieszaniu z ziemią rozrzucony w jesieni drobny nawóz lub kompost.

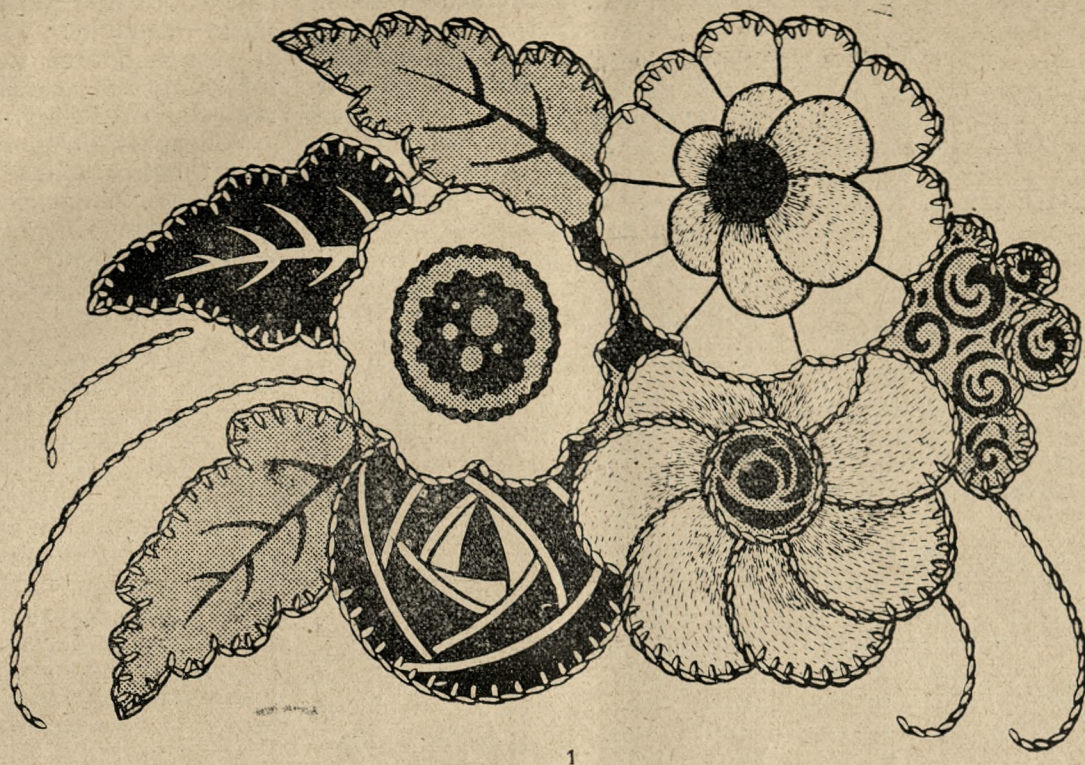
Często jednak mechaniczne wygrabianie mchu nie wystarcza do wyniszczenia go. Wówczas bierzemy do pomocy wapno i kainit. Dawka wapna w jesieni, a kainitu wczesną wiosną, albo ostatecznie w następnym roku (nigdy razem) wypala mech istniejący i wytworzą warunki nieprzyjazne dla dalszego jego rozwoju. Przy stałym zasilaniu trawników temi nawozami mech zupełnie wyginie.

Jeżeli w trawniku potworzyły się goliżny, albo trawa się przerzedziła, to należy po wiosennym grabieniu miejsca te obsiać na nowo, zagrabieć i uklepać, a z wiosną zazielenią się i pokryją bujną runą, która jednak będzie w ciągu lata wymagała dalszej, troskliwej opieki, żeby się zachowała w pełnej krasie.

Stan. Schönfeld



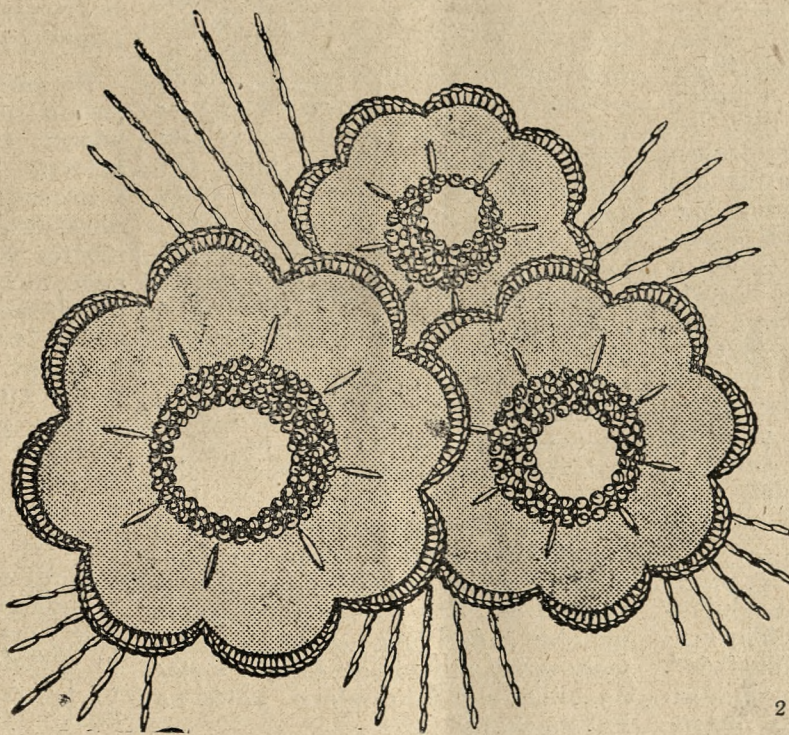
NAJMODNIEJSZE OZDABIANIE SUKIEN



1

Bardzo modnem jest obecnie ozdabianie sukien różnego rodzaju aplikacjami. Najłatwiejszym sposobem jest wycięcie jakiegoś motywu z deseniowego kretonu francuskiego i przydzierganie go, bardzo starannie, odpowiednimi kolorami w miejscu gdzie sukienka ma być ozdobiona—sposób w jaki to czynić należy wskazuje rys. 1, a jest on tak rozpowszechniony w Paryżu, że nawet strojne jedwabne sukienki tak ozdabiają.

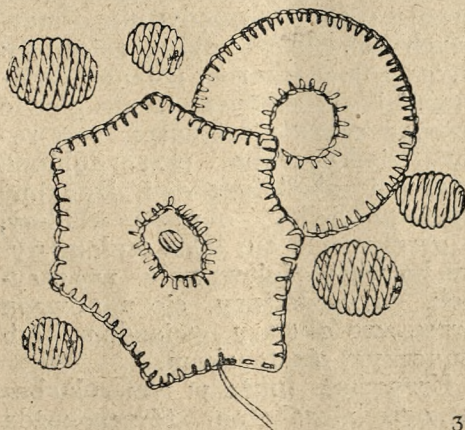
Wykwintniejszym, ale i dużo trudniejszym jest aplikowanie motywów, wycinanych z różnych



2

kolorów sukna, jedwabiu, lub aksamitu.

Prześliczną będzie np. sukienka dla młodej osoby z białej różowej tafty, ozdobiona aplikacją z polnych różyczek z aksamitu w ciemniejszych odcieniach (rys. 2), albo sukienka z czarnego atłasu, z tuniką, na której ułożymy aplikowany szlak, podług rys. 3.



3

Kwiatki mogą być wycięte z żółtego sukna w dwóch cieniach i przydziergane ciemniejszym sztucznym jedwabiem, którym też wyhaftujemy kropki. Robota nie trudna, a da napewno bardzo dodatnie i bardzo oryginalne rezultaty, więc radzę jej spróbować.

KARNAWAŁ DZIECINNY

Paryż w lutym.

Chcę się z wami, miłe czytelniczki „Bluszczu“ podzielić świeżymi wspomnieniami kilku dziecinnych zabaw, w których brałam udział w ostatnich dniach karnawału. Zdaje mi się, że u nas we Francji, gdzie dzieciarnia nie jest zbyt liczna, niestety! — jest ona bardziej pieszczona i więcej się jej poświęca myśli i czasu, niż w innych krajach. W tym więc karnawale baliki i wieczorki dziecinne robiły prawdziwą furorę, a kostjumy, które zdarzyło mi się widzieć na niektórych maskaradach, były doprawdy prześliczne.

Zacznę od opisu najmniej skomplikowanych z pośród nich, a zarazem najulubieńszych. Większość mateczek przebrała swoje pociechy za „pasterkę“ i „pastuszkę“. Kostjumy takie doprawdy bardzo łatwo zrobić w domu. Dla chłopczyka koszulka biała z pół krótkimi rękawami, krótkie spodenki brunatnego koloru, skóra barankowa zarzucona na lewe ramię i przytwierdzona z prawej strony u paska, sandały na nóżkach, a w ręku drewniana piszczałka, na której zresztą młodzieniec grać nie potrzebuje!

Dla dziewczynki spódniczka szeroka, marszczona, z kretonu w paski, krótki fartuszek z kretonu w kwiaty, bluzeczka z białego batystu o długich, zmarszczonych przy dłoni, rękawach, gorsecik z niebieskiego płótna sznurowany z przodu, kapelusz „pasterski“ z grubej słomki ozdobiony kwiatami polnymi, i zgrabniutki drewniak („saboty“) czarne ponad którymi widać pończoszki niebieską w tym samym odcieniu co gorsecik.

Pamiętacie zapewne utwory pocziwej babci de Ségur z tak ulubionej dzieciom „Różowej biblioteczki?“ „Bibliothèque Rose Illustrée“. Otóż jedna z moich znajomych pań, właścicielka pięknego staroświeckiego pałacyku przy przedmieściu St. Germain, wpadła na pomysł urządzenia w zeszłym tygodniu „balu pani de Ségur“. Każdy z pośród małych gości musiał się zjawić w kostjumie ilustrującym jedną z powieści tej tak ulubionej przez dziatwę autorki. Były to może kostjumy cokolwiek kosztowne, lecz wszyscy dorośli widowie przypatrywali się im z prawdziwą przyjemnością! Była tam zwłaszcza jedna przemiła dziewczynka w czarnych buciczkach prunelowych i białych pończoszkach ubrana modą ówczesną w długie haftowane majteczki, sięgające do

kostek, w sukienkę taftową, bluzkę białą i maleńką kamizelkę z czerwonego sukna, wyszytą jedwabiem koloru „marron“. Na główce miała stylową „budkę“, związaną pod bródką na wstążki i odsłaniającą u skroni prześliczne loki jasno-blond. Ta milutka „Kamilcia de Fleurville“ cieszyła się też niezwykle powodzeniem, a rywalizowali z nią dwaj dziarscy „Polacy“ z powieści „Les deux nigauds“, oraz trzeci — śliczny książę Roman — znany dobrze czytelnikom „Generała Durakina“.

Niestety, przedstawienia takie mają jedną wielką wadę: są zbyt kosztowne, a przeto w obecnych „ciężkich czasach“ nie dla wszystkich budżetów rodzinnych dostępne. Jeśli się chce tylko wymyślić kostjum zabawny, któryby się podobał dzieciom, to podaję tu model bardzo stosowny dla chłopczyka od 4 do 8 lat:

Pióra kurze lub indycze (te ostatnie są nawet lepsze, a przecież w każdym gospodarstwie tak łatwo o nie!) macza się w farbach przeróżnych kolorów — im bardziej będą urozmaicone, tem lepiej. Za pomocą tych piór, oraz kawałka grubego płótna każda mamusia potrafi przemienić swego synka we wspaniałego wodza czerwonoskórych Indian, jakiegoś; Sokole Oko czy Bystronogiego Jelenia. Wystarczy tylko uszyć długie płóciennne spodnie, rozszerzone u dołu i obszyte kolorowymi piórami, szeroką bluzę z tegoż materiału, pas jaskrawoczerwony, za którym tkwią: groźny sztylet... drewniany i „kalumet“, zrobiony z pustej szpulki od nici, zatknętej na końcu cybucha drewnianego, wymalowanego na różne kolory. I oto macie przed sobą groźnego wodza Siouc'ów czy Komaneczów, nie zapomnijcie wszelako o najważniejszym szczególe: koafiurze z malowanych piór, powtykanych we włosy — bez tej bowiem ozdoby żaden szanujący się czerwonoskóry nie odważyłby się wyjść na ulicę, a cóż dopiero pójść na bal maskowy!

Bardzo odpowiednim także przebraniem dla chłopców nieco starszych będzie kostjum astrologa: długa suknia czarna, usiana gwiazdami i półksiężycami, na głowie wysoka czapka śpiczasta, a w ręku wielka laska, przyozdobiona znakami kabalistycznymi. Dodajmy do tego wielkie, okrągłe okulary, a przekonacie się jakie szalone wybuchy wesołości wywoła wasz synek, przypatrujący się z powagą przez swe okulary gwiazdom... lub smaczny ciasteczkom.

Urządzano także w tym roku bale „ogrodnicze“, na których każde dziecko musiało wyobrażać jakiś

kwiatek, albo jarzynkę. Wywoływało to wiele śmiechu i radości. Jednakże bal taki nie jest właściwie ściśle dziecinny i pomysł ten może równie dobrze służyć dorosłym, tak samo jak i maskarady, odtwarzające którąś z popularnych bajek.

Widząc swoje pociechy wystrojone w najrozmaitsze kostjumy maskaradowe, mamusie i ojczulkowie mieli słuszny powód do zazdrości. Jednakże w tym roku szal maskaradowy nie był tak powszechny jak w zeszłym.

W każdym razie byliśmy wybredniejsi w doborze kostjumów. Wyszły już zupełnie z użycia tak pospolite dawniej stroje neapolitańskie, hiszpańskie, japońskie, oraz wschodnie sułtanki, odaliski i t. d. Stroje historyczne również nam się już sprzykrzyły. Bal babiloński, grecki, egipski wygląda ładnie tylko wtedy, jeśli kostjumy są skombinowane z dużym umiarem artystycznym i... bez trzymania się zbyt ścisłego wzorów historycznych! Bale kostjumowe z epoki Henryka III czy Franciszka I, tak ulubione dawniej, poszły też w tym sezonie w zapomnienie.

Najmodniejsze są w tej chwili „rekonstrukcje“ jakiejś słynnej powieści czy też całego szeregu dzieł któregoś z mistrzów pióra. Każdy z uczestników balu powinien wyobrażać albo postać z tej powieści, lub też tytuł któregoś z dzieł danego autora. Pozwala to jednocześnie grupować gości w „żywe obrazy“ — zabawa ta, ongiś tak ulubiona przez nasze babki, zaczyna potrochu, choć jeszcze nieco nieśmiało, powracać do naszych łask. Nie jest to zresztą rozrywka tak łatwa, jakby się zdawało: aby być naprawdę artystyczną, wymaga ona dobrego reżysera.

Chodzą pogłoski, że jedna ze słynnych firm krawieckich projektuje urządzenie w półpoście „balu kart do gry“. Jest to pomysł ładny i oryginalny: wyobrażam sobie doskonale królów kierowych flirtujących z damami pikowymi, waletów treflowych i karowych wzdychających do kierowej damy, a naokoło tych grup zakochanych, asy i młódki tańczące szalone sarabandy pod zazdrosnym okiem starych królów weteranów.

Możnaby jeszcze zorganizować, bal innych gier, np. tak modnego teraz mah-jongu, co by pozwalało na kostjumy jeszcze efektowniejsze i jeszcze bardziej fantastyczne. Jeśli pomysły te dojdą do skutku, nie omieszkam opisać Wam, kochane moje czytelniczki, najpiękniejszych i najbardziej pomysłowych kostjumów.

Hrabina Annie.

Ozdabianie naszych mieszkań i balkonów

Jak dużo uroku i radości życia dodają kwiaty, wszystkie wiemy o tem dobrze. Najskromniejsze, najmniejsze mieszkanko, zmienia się do niepoznania, robi się miłe i wesołe, jeżeli ozdobimy je kilkoma barwnymi wiązanekami, lub doniczkami kwitnących kwiatów. Cóż dopiero mówić o skrzynkach za oknami i na balkonach. W zimie, kiedy niema kwiatów dla wszystkich dostępnych, zastąpić je można zielonemi gałązkami świerków, tui lub mahonii, bardzo wczesną wiosną gałązkami wierzby, tak zwanymi pospolicie „kotkami“, które w połączeniu z zielenią drzew, nie tracących liści, śliczne i radosne robią wrażenie — przypominające, że „wiosna idzie!“

Od właściwej wiosny zaczawszy, zawsze mieć można świeże kwiaty — czy to w mieście za małe względnie pieniądze, czy też na wsi, własnym staraniem w ogrodach, na polach i w lasach zebrane. W wazonach, zastosowanych do rodzaju kwiatów gatunkiem i kolorem, dającą do wody, starannie zmienianej trochę soli lub cukru, skrapiając lekko rano i wieczorem rozpylaczem kwiaty, niektóre gatunki tydzień w świeżości utrzymać się dadzą. Dobrze jest w dniu upalnym wyciągnąć bukiety na noc na werendę lub balkon, aby kwiaty odetchnęły świeżym powietrzem i napałyły się nocną rosą.

Najładniej wyglądają kwiaty dobrane kolorem i gatunkiem, albo też pojedyncze gałęzie krzewów i drzew kwitnących, jak np. jabłoni, dubeltowa wiśnia, mimoza i inne. Tak jak już wspomniałam, starannie zwrócić trzeba uwagę na dobór wazonów, których nigdy w domu nie ma się za dużo, wykwinne kwiaty wykwinnego potrzebują pomieszczenia — skromne, drobne kwiateczki śmiesznie wyglądałyby w pysznych, sewskich czy kopenhagskich wazach, lub w bogato rzeźbionych flakonach kryształowych. Do nich zastosować trzeba gałęzie bzu dubeltowego, od białego, do fioletowo-czerwonego, prunusa białego-różowego, egzotyczne kwiaty storczyków, a przede wszystkim bogatą w odmiany i kolory, królową kwiatów — różę — ciętą z długimi łodygami. Kwiatom polnym, fiołkom, stokrotkom, konwalii pozostawiamy wazki i wazoniki z polnej, kolorowej gliny, krajowego wyrobu, w których ułożone mile oko pociągają. Dla utrzymania na powierzchni drobnych kwiatków o krótkich, wiotkich łodyżkach, dobrze jest upleść siateczkę dru-

cianą, dostosowaną obwodem do naczynka, w którym układamy kwiaty.

Robi się krążek z drutu, nadając mu potrzebny okrągły, lub owalny kształt, przeplata się go następnie tam i z powrotem cienkimi drucikami, tak, aby uformować gęstą siateczkę, w którą wkłada się kwiatki. Tak ułożone bukiety ślicznie wyglądają do ubrania stołu jadłalnego, a jeśli włożymy na dno wody napełniającej wazki, kawałek drzewnego węgla, długo zachowują świeżość i barwę.

Najmilszą jednak ozdobą są pseudo ogródki, czyli skrzynki pełne kwiatów, kwitnących od wiosny do późnej jesieni — główny urok i zastosowanie mają w mieście, gdzie dają złudzenie obszaru biedakom skazanym na spędzenie lata w ciasnym, zaduszonym murach, a choć do tego lata jeszcze daleko mówię dzisiaj o nich, bo już w marcu trzeba myśleć o ubraniu balkonu. Skrzynki z kwiatami na wsi są też nie do pogardzenia, i stanowią wielką ozdobę werend i balkonów. Mało gdzie na wsi, sama pani zmuszona jest myśleć o przygotowaniu sadzonek do ubrania swego otoczenia kwiatami. Ogródnik, o tyle, o ile zdolny i kilka okien inspektowych w najmniejszym nawet folwarczku znajdują się do rozporządzenia i ułatwią bardzo wyhodowanie sztońców — dobry smak samej pani i umiejętny kierunek w rozmieszczeniu odpowiednich roślin, z najlichszego domku zrobią ukwieconą, zaczerowaną altanę, z najmniejszego ogródka, rozkoszny, pełen woni zakątek.

Trudniejsza sprawa w mieście, gdzie chcąc uniknąć wydatków — wszystko swoim przemysłem zrobić trzeba, lecz choć wyhodowanie młodych roślinek dużo trudu i pracy kosztuje, sówicie jest się nagrodzoną, gdy zakwitną.

Do skrzynek najlepiej nadają się pelargonie koniecznie jednakowe, ponsowe Meteory silne obficie kwitnące — albo koralowe John Gibbons, lub Ulmia, formujące ogromne bukiety złożone z drobnych kwiatków, ale bardzo efektowne. Pelargonie sadzi się w skrzynkach bliżej wewnętrznego brzegu — brzeg zewnętrzny od ulicy, obsiewa się maciejką, która zakwita w szóstym od zasiań tygodniu.

W dzień zamyka się, jakby kryła się przed ostre promienie słońca — nad wieczorem rozwija drobne lila kwiatuszki rozsiewając upajający zapach; można także od strony ulicy, zasadzić w skrzynkach nasturcję, której bujne zwieszające się pędy ślicznie ubierają balkon.

W dwóch końcach balkonu, trzeba postawić duże głębokie, drewniane skrzynie można zużytkować stare skrzynki od opakowania wzmocniwszy je żelazną obręczką. Po napełnieniu skrzyń dobrą ziemią kupioną u ogrodnika — sadzić w nich również kupione flance białego tytoniu (*Nicotiana affinis*) który prędko się rozrasta w ogromne krzaki, a zakwitłszy, wieczorami rozacza cudowny zapach. Boki balkonu obsadza się ponsową wielkokwiatową fasolą — rozpinając na ścianie sznureczki po których wiją się młode pędy. Fasolę należy sadzić wcześniej w doniczki, które trzyma się w mieszkaniu dopóki zupełne ciepła nie nastaną, a to zwykle bywa po owych złośliwych dniach kwitnienia cierni, koło połowy maja. Spore już roślinki prędko się rozrastają tworząc z szarego kamiennego balkonu, prawdziwy raj zieloności.

Na koniec we wszystkie brzegi skrzynek i doniczek zasztobrować można tradeskancję, nadzwyczaj łatwo przyjmującą się i szybko rosnącą, która zwieszając się ładnie zasłoni drzewo skrzynek i doniczki. Pelargonie przesadza się z balkonu na jesieni przed mrozami w nieduże doniczki, zimuje w chłodnym pokoju niewiele podlewając, aby nie wybujały. W początku marca oblamuje się mocne pędy i sadzi je w maleńkie doniczki napełnione lekką ziemią niezbyt głęboko, żeby nie gniły i silnie obciskając ziemię naokoło. — Przez pierwsze dwa tygodnie trzyma się, zasztobrowane roślinki, zdaleka od światła lekko podlewając — następnie ustawia je się na oknach, gdzie pozostają aż do wyniesienia na dwór.

Trudno określić kiedy to nastąpi pora bowiem wysadzenia kwiatów, zależy od wiosny, która obecnie tak nieregularnie się rozpoczyna; mniej więcej koło 15 go maja bywa już dosyć ciepło i przymrozki ustają. — Nie trzeba się jednak zbyt spieszyć, lepiej poczekać parę dni dłużej, jak narazić roślinki na zmrożenie. Na kilka dni przed wysadzeniem pelargonii, trzeba je wynieść i postawić na dnie balkonu, aby przyzwyczyły się do słońca i chłódów nocnych. Po tygodniu są zahartowane i nie odczują tak bardzo zmiany warunków istnienia. Podlewać trzeba kwiaty na balkonie bardzo obficie, skrapiając je sitkiem rano i wieczorem, nigdy jednak w czasie operacji słonecznej i często lekko wzruszając ziemię aby się zbyt nie zbijała. Trudno oznaczyć stopień potrzebnej wilgoci zależy on od lata, od operacji słonecznej i od częstych deszczów — chociaż nieraz pomimo padającego deszczu

skrzynki podlewać trzeba. Unormowanie podlewania trzeba pozostawić osobie pielęgnującej kwiaty; tak jak matka odgaduje potrzeby swego niemowlęcia, tak i troskliwa ogrodniczka wie najlepiej co jej roślinom potrzeba.

Starannie utrzymane sadzonki na balkonie, bogato zakwitną pod koniec czerwca, i zwłaszcza wieczorami dadzą nam złudzenie że się znajdujemy w wiszącym ogrodzie, lub w kwietnej oazie powstałej na tle zakurzonej szarzyni miejskiej. J. S.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZ- NEGO

P. Julji P. z Jarosławia.

Najlepszym środkiem na pajęczki jest obmywanie rośliny rozczyntem mydła naftowego, lub odwarem tytoniu.

Roślinę należy odosobnić, aby uchronić inne kwiaty od tej samej plagi.

Róże herbaciane można wyhodować w pokoju, ale wymaga to dużych starań — przede wszystkim słonecznego okna — podlewania nawozem, roślina gdy zacznie puszczać listki i temperatury około 12 st. Paprocie wymagają ziemi wrzosowej, i bardzo dużej wilgoci. W ziemi powinny stać blisko okna, w lecie koniecznie w cieniu, gdyż palące promienie słoneczne zabijają liście. Paprociom bardzo szkodzi bliskość rozgrzanego pieca.

Asparagus, wymaga dużej wilgoci i światła południowe nie jest dla niego najlepsze — najwłaściwszym jest zachodnie.

Asparagusy wyglądają bardzo ładnie i doskonale się trzymają zawieszone w oknie, w specjalnym koszu. Jest to bardzo dobry sposób umieszczenia ich, jeśli na oknach stoi dużo doniczek z kwiatami, można je także postawić na wysokich słupkach, w promieniu światła okiennego.

P. J. z Oporowa.

Główkę dziecka powinno się przede wszystkim utrzymywać w wielkiej czystości, i bardzo często myć włoski. Jeśli są bardzo suche radzę stary, wypróbowany środek mianowicie smarowanie co kilka dni olejem rycynowym, którego niewielką ilość należy za pomocą waty wcierać w skórę na główce.

Pani H. G. z Kramską.

Doskonałym środkiem na odmrożenie nóg jest moczenie ich w bardzo gorącej wodzie i smarowanie potem jakąkolwiek maścią,

zawierającą salicyl. W Warszawie doskonałą maść na odmrożenie wyrabia fabryka „Motor“.

P. Zofji z Milanówką.

Kolorem, którym, według zwyczaju, ubierają poduszki i czepczki, dziewczynki — jest niebieski — kolorem chłopca — różowy.

P. L. B. z Podzamcza.

„Vieux Milan“, nazywa się robotą, rodzaj point-lace, w której wążutką tasiemeczkę, układaną w deseń łączy się ściegami. Laufer, o który pani pyta powinien być narysowany na merli, lub ceratce i na tym rysunku nafastrygowana tasiemeczka. Motywy są zrobione haftem „Richelieu“.

Pani porucznikowej.

Nie podaje Pani w swym liście ani adresu, ani nazwy miejscowości w której zamieszkuje, co uniemożliwia orjentowanie się w kosztach utrzymania w danej miejscowości. Oprócz tego nie pisze Pani o tem, czy Pani korzysta z mieszkania rządowego, czy też płaci za nie i ile, — to jest jedna z najważniejszych pozycji w budżecie i nie da się ominąć. Czy jest na miejscu szkoła powszechna? O dodatkowe te informacje prosimy — bez nich odpowiedź jest niemożliwa.

Pani M. C. w Lesznie.

Nieświeże masło jest produktem wysoce niestrawnym i wprost szkodliwym dla zdrowia i boję się, że jeżeli masło Sz. Pani, jest w takim stanie rozkładu, że nie tylko jest gorzkie, lecz nawet zapach ma niemiły, nie da się go uczynić zdatnym do użycia. Niechaj jednak Pani popróbuje w sposób następujący: 10 gr. salicylu rozpuścić w 20 butelkach (litrach wody) tą wodą starannie przemyć

masło, wycierając łyżką po łyżce, i zalać na noc. Następnego dnia rozpuścić 100 gramów (ćwierć funta) sody oczyszczonej w 10 litrach wody i czynność najstaranniejszego mycia powtórzyć. Nakoniec wypłókać masło w kilkunastu wodach. O ile Pani posiada lub może gdzie pozyskać walec, używany przy fabrykacji masła, należy go użyć gdyż najdokładnie wszystkie czynności będą wykonane, w braku jego robić wszystko na misce glinianej drewnianą łyżką. O ile masło nie było ostatecznie zepsute, po takim przerobieniu powinno stać się zdatnym do użytku. W przeciwnym razie użyć go można tylko, po wymyciu z soli, na smar do maszyn.

P. Zofji L. z Warszawy.

Radzę zwrócić się do dr. Stefani Rygier, Nowogrodzka 8.

P. Stefie z prowincji.

Podręczniki do robót są tylko w obcych językach — niemieckim, lub francuskim. Tamborek można dostać w każdym sklepie z przyborami do robót.

Maryli J., Malinie M. i Halinie S.

Prosimy o podanie adresu, gdyż odpowiedzi nie możemy umieścić w „Bluszczu“.

* * *

Redakcja „Bluszczu“ odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu redakcja odpowiadać nie będzie.

Przepisy gospodarskie

POTRAWY Z SERA.

Mamy ogromną ilość rzek, jezior i stawów, mamy kawał własnego morza, a jednak nietylko na głuchej prowincji, lecz nawet w dużych miastach nieraz trudno jest o ryby, a zawsze prawie są one bardzo kosztowne. Natomiast nabiał dobry, a szczególnie zwykły twaróg i ser zlewany można mieć i na wsi i w najmniejszej miejscowości, są one nawet tam znacznie lepsze niż w stolicy, bo świeższe i nie przywiezione z daleka. Pozwolę więc sobie wobec rozpoczę-

Wszystkie Czytelniczki, które zwracały się do nas w sprawie tiulu genueńskiego zawiadamiamy, że tiul już nadszedł. Na zakieci podany w № 1 „Bluszczu“ trzeba 1 mt. 25 ctm., na jumper z krótkimi rękawami 1 mt. Cena metra 15 zł. Tiul wysyłać będziemy po otrzymaniu należności.

tego postu przypomnieć gosposiom najzwyczajniejsze potrawy z twarogu i sera.

Pierogi leniwe. Półtora funta sera jaknajświeższego, dobrze odcisniętego z serwatki utrzeć w misce wałkiem, wbić trzy całe jajka, trzy łyżki dobrej śmietany, nieco soli i tyle mąki, aby masa się dała ucierać, (około dwóch szklanek najwyżej). Skoro się utrze na jednolitą masę i stanie pulchna, formować z niej, na osypanej mące stolnicy, długie wałeczki, spłaszczyć je nieco, ukarbować po wierzchu nożem i krajać na skośne kawałki. Zagotować w dużym rondlu wody, osolić, na wrzątek rzucać pierogi, gdy wypłyną, odcedzić na durszlaku, zalać masłem, rozpuszczonym ze zrumienioną bułeczką i wydać bardzo gorące.

Mędrzyki smażone. Półtora funta sera jaknajświeższego ucierać w misce z trzema jajami, trzema łyżkami śmietany, dwoma szklanekami mąki, łyżką cukru i łyżeczką soli. Gdy masa zrobi się gładka i jednolita formować z niej galki wielkości sporego włoskiego orzecha. Spłaszczyć każdy z nich, zrobić w środku dołek palcem i smażyć na rumiano na maśle lub szmalcu. Podawać bardzo gorące, a do nich w sosierce dobrą kwaśną śmietaną i drobny cukier z cynamonem.

Pierozki z sera na kreścach szalitanocami zwane. Funt najlepszego, świeżego sera lub twarogu, utrzeć z dwoma jajami, łyżką cukru i łyżeczką soli. Zrobić z mąki, wody, jajka i odrobiny soli ciasto, jak na zwykłe pierogi mięsne. Rozwałkować jaknajcieńiej, niedużą szklanką piwną wykrawać krążki, na każdy kłaść łyżeczkę masy serowej, zaciskać mocno brzegi, aby w gotowaniu nie popękały. Gdy wszystkie gotowe spuszczać na osolony wrzątek. Kiedy wypłyną, odcedzić na durszlaku i polać roztopionym masłem z przy-

rumienioną bułeczką. Oddzielnie podać w sosierce kwaśną śmietaną.

Rosyjskie „wa truszki“. Z dwóch szklanek śmietany i łyżeczki soli zagnieść ciasto z taką ilością mąki pszennej, aby było dosyć wolne, lecz dało się wałkować, rozwałkować bardzo cienko, spodkiem od filiżanki wycinać krążki. Funt twarogu rozetrzeć doskonale z dwoma jajami, dwoma łyżkami śmietany, dwoma łyżkami cukru trochę wanilii i łyżeczką masła. Nakładać tej masy na każdy krążek tyle aby ciasto było niepokryte na palec od brzegu, ciasto to podjąć i pozaciskać wkoło zręcznie, aby się uformował ładny francik. Ułożyć na posypanej mące blachę i wstawić w średnio gorący piec. Gdy się masa zlekka zrumieni wyjąć i podawać gorące zamiast pasztecików do czystego barszczu, zupy szczawiowej, lub zamiast ciasta do herbaty. Są wyborne.

Naleśniki z serem. Aby naleśniki były delikatne, nie należy ich robić na mleku, lecz tylko na zimnej wodzie. Otóż z półtorej szklanki mąki, dwóch jaj, odrobiny soli i wody, ubić gładkie ciasto i piec cienkie naleśniki smarując patelnię kawałkiem świeżej słoniny. Gdy wszystkie gotowe rozetrzeć funt twarogu z dwoma jajami, dwoma łyżkami cukru i kilku gorzkimi migdałami sparzonymi i utłuczonymi w moździerzu. Masą tą smarować grubo naleśniki, układać w trójkąt lub kopertę, lub też zwiąć w długą rolkę i smażyć do zrumienienia na maśle lub szmalcu. Podawać na stół gorące, a do nich oddzielnie cukier tłuczony z odrobiną cynamonu lub wanilii.

Palaczniki czeskie. Półtorej szklanki mleka utrzeć z trzema żółtkami i taką ilością mąki, aby ciasto było nieco gęstsze jak na naleśniki, dodać odrobinę soli i ubite na sztywną pianę białka. Utrzeć pół funta najlepszego sera z dużym jajkiem, łyżeczką cukru i garścią dużych rodzenek (koryntek).

Obficie rozpuścić smalec lub masło i piec na patelni cienkie omlety, każdy zaraz po upieczeniu smarować serem z rodzenkami, zwiąć w rolkę i wstawiać pod blachę aby nie wystygły. Gdy wszystkie gotowe osypać obficie cukrem z cynamonem i gorące podawać.

Budyń z sera. Funt świeżego sera, lub dobrze odcisniętego twarogu ucierać na misce z trzema łyżkami mąki, pięciu łyżkami śmietany, czterema łyżkami cukru i odrobiną soli. Gdy masa stanie się gładka i pulchna dodać sporą garść rodzenków sułtańskich lub koryntek i białko ubite na sztywną pianę. Formę budyniową lub rondelek ze szczelną pokrywą wysmarować grubo masłem, wysypać bułeczką włożyć budyniową masę, zakryć szczelnie pokrywą i wstawić w duży rondel z gotującą się wodą. Gotować na parze około godziny. Wyrzucić na okrągły półmisek i wydać gorący na stół. Oddzielnie do tego budyniu można podać sos szodonowy, sos waniliowy gorący, sos każdy z owocowego soku, topione świeże masło, śmietaną ubitą z cukrem i cynamonem, lub też sok owocowy.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Kto nie chce zniszczyć paznogi przy porządkach domowych niech rozmoczy kawałek mydła na gęstą masę, zanurzy w niej czubki palców i chwilę potrzyma, aż się mydło zsiądzie za paznogi. Po ukończeniu roboty niechaj wymyje ręce szczotką w ciepłej wodzie, a nie pozostanie na nich żadnego śladu.

* * *

Aby mieć zawsze cukier waniliowy należy trzymać laskę wanilii zasypaną pudrem w szczelnie zamkniętym słoiku, lub blaszanym pudełku.

„NOWOŚCI ILUSTROWANE”

Najpoczytniejszy tygodnik ilustrowany, wychodzący od 1903 roku.

Zawiera około 100 zdjęć z Polski i całego świata. Przegląd polityczny i aktualny z tygodnia. Bogaty dział mód, teatrów polskich, sportu. Dział beletrystyczny zawiera dwie powieści oraz nowele. Dział rozrywkowy: humor, szachy, szarady, liczne premjowane konkursy etc.

WSZĘDZIE DO NABYCIA!

WSZĘDZIE DO NABYCIA!

Prenumerata kwartalna zł. 7.50. Numer pojedynczy zł. —.75. Do nabycia we wszystkich księgarniach, kioskach i na stacjach kolejowych.

Redakcja i Administracja: Kraków, ulica Kazimierza Wielkiego l. 95. Telefon № 479.
Konto P. K. O. Kraków 400.519.

Opis sukien i robót do Nr. 10.

162. Suknia na ulicę z piaskowego cienkiego zamszu, przybrana kolorową wypustką i guziczkami.

163. Suknia z ciemno zielonej wełny, przybrana barwnym haftem i czarną akksamitką.

164. Suknia z granatowej wełny, przybrana haftem w kolorach ponsowym i złotym.

165. Bluzka z lekkiego sukienka, wyszyta ciemnym sutazem.

166. Suknia z białego sukna i czarnej crepe marocain. Zakład z wełny czarnej z białym w kratę.

167. Palto z miękkiej popielatej wełny, przybrane haftowaniami szlakami.

168. Palto z białego sukna i czarnego aksamitu, haftowane czarnym.

169. Suknia z zakładem z brązowej wełny, przybrana pasami atłasu.

170. Bluzka z deseniowego crepe marocain, wykończona gładką plisą i guziczkami.

172. Płaszcz dla dziewczynki od lat 5 do 7 z sukienka piaskowego.

173. Paltocik dla dziewczynki od lat 6 do 8 z granatowej wełny, przybrany plisami z aksamitu.

174. Paltocik dla dziewczynki od lat 7 do 9 z wełny w kratę. Kołnierzyk i mankiety z gładkiego sukna.

175. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 9 z wełny w pasy, przybrana gładką plisą.

176. Suknia wieczorowa z mieniącej deseniowej lamy, obszyta białym futrem. Spód z aksamitu szafirowego.

177. Kapelusz ciemno brązowy ze świecącego bastu, przybrany nie fryzowanymi strusimi piórami.

178. Suknia wieczorowa z rubinowego atłasu, tiunika i bufki z crepe georgette

tego samego koloru. Przybranie z czarnego marabuta.

179. Wzór na ręczny strzyżony dywanik. Wielkość naturalna 107x70 cm.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	długość rękawów	długość spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna " 2.50
bluzka " 2.00
formy dzieciinne " 2.00
bielizna " 1.50

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

UWAGA: Powiększone wzory robót umieszczonych w Dodatku Mód można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skutecznie na blankietach czekowych P. K. O.

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

PORADY KOSMETYCZNE.

Pani W. Jeż-na. Wągrów wyciskać nie należy, myć twarz proszkiem alkalicznym *Sveno* w ciepłej wodzie. Wystaliśmy *Bisare* od łupieżu i wypadania włosów, jak również fran. płyn *Petunja* od piegów dla koleżanki; jest to najradkalniejszy środek jaki znamy.

Papilotce. Prosimy o adres. Odpowiedni środek specjalnie dla pani sprowadzamy wysłany pocztą.

Merg B. N. Krem *Ixora* i płyn *Albarol* zwiężają rozszerzone pory, usuwają wagi.

Zmartwionej. Miejsca łuszczące się nacierać kremem *Letycja* przed i po umyciu, cera przestanie się łuszczyć.

Pani N. K. Zmarszczki lekko rozprawać kremem *Salome*. Polecimy wysłać.

Pani S. T. Listy do mnie proszę adresować do Redakcji, na odpowiedź znaczki poczt. należy załączyć.

22

Dr. Romer-

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Zofji S. Aby usunąć wagi, radzę twarz nacierać kilka razy dziennie wata, umoczoną w *Pureolu*, po za tem nie myć twarzy mydłem, tylko *Otrąbkami Abaridowemi* i żadnych tłustych kremów do twarzy nie używać. Bardzo dobrze w tych wypadkach robi nie-tłusty *Krem Abarid*, który pomaga do odtłuszczenia skóry, a po za tem odżywia tkankę i zapobiega tworzeniu się zmarszczek.

Henryce M. Odświeżać twarz wśród dnia wata, zmoczoną w płynnym *goldcremie Abaridowym*. Jeżeli twarz, szczególnie w okolicy nosa, jest błyszcząca i skóra wydziela dużo tłuszczu, to w wodzie do mycia, rozpuścić jedną *pastylkę Alkaliczną* i myć twarz *Otrąbkami Abaridowemi*.

Notretniej. Najlepszy nietłusty puder jest *Abaridowy*, który nie tylko nie działa szkodliwie na cerę ale przeciwnie, pomaga do odżywiania tkanki, zawierając cząstki sproszkowane cebulek *Lilji białej (Lilja Candida)*.

Mm. Ercedes.

Skład główny wymienionych tu środków:
Warszawa, „Perfection,” Szpitalna 10.

BRACIA HOSER

W WARSZAWIE, JEROZOLIMSKA 45.

Telefon 581.

HODOWLA I SKŁAD NASION

zawiadamiają, iż wyszedł z druku

Cennik nasion na rok 1925.

i rozsyłany jest na żądanie.

FIRMA EGZYSTUJE OD 1848 ROKU.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, T.WO REKLAMY MIĘDZYNAR. S-ka z Ogr. Odp. **OGŁOSZENIA** Gen. Rep. RUDOLF MOSSE—Marszałkowska 124, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL. i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA” Długa 9 i I. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA.

Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OKOŁÓW

Kierownik Graficzny EDMUND BARTŁOMIEJCZYK.

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99. Tel. 239 40.



KOMUNIKAT

BIURA PRASOWEGO

DLA SPRAW KOBIECYCH



W A R S Z A W A

7 MARCA 1925 r.

Zgłoszenia do policji kobiecej

Kandydatki, pragnące wstąpić na służbę w policji kobiecej, powinny przedstawić następujące dokumenty:

- 1) życiorys
- 2) dokument obywatelstwa
- 3) świadectwo szkolne (minimum 4 kl. szk. śr. albo 7 kl. szk. pow.).
- 4) świadectwo poprzedniej pracy, albo zaświadczoną kopję.
- 5) fotografię.

Wiek wymagany: od 25 do 45 lat.

Termin szkolenia — dotąd nie ustalony. Podania składać należy do Komendy Głównej Pol. Państwowej—Nowy-Swiat 67.

Bliższych informacji udziela Biuro Zarządu Tow. Ochr. Kobiet ul. Czackiego № 10 m. 10.

Korespondencje Biura Prasowego dla spraw kobiecych

LIST Z GRUDZIĄDZA

Grudziądz liczy 48 tysięcy mieszkańców. Niewiele — prawda, ale urządzeniem robi wrażenie małej stolicy. A więc posiada elektryczność (tramwaje) gaz, kanalizację, wodociągi i t. d. Ulice czyste, zadrzewione, kwietniki, park i inne ozdoby miasta.

Szkół średnich 3 — dwie męskie i żeńska, która w tym roku wydawać będzie pierwszą maturę. Dziewcząt w niej około 500 w polskim oddziale i około 100 w niemieckim. Na stanowisku kierowniczem — mężczyzna — zresztą wzorowy kierownik. Szkół powszechnych 3 i wydziałowa 1. Nadto posiada Grudziądz 3 szkoły specjalne: Państwową Szkołę Budowy maszyn, Pomorską Szkołę Sztuk Pięknych i Szkołę Muzyczną, po-

nadto — dwa Seminarja: polskie i niemieckie; niem. jest koedukacyjne, polskie — męskie.

Każde miasto ma swoje „naj” i tem się szczyści. Myśmy mieli największą w Polsce radiostację, ale nas zakasowała Warszawa, co jej się zresztą słusznie należy.

Bardzo dużo jest w Grudziądzu wojska; w tem centralna na Polskę Szkoła Kawalerji.

Tak wielka liczba wojska wpływa też oczywiście na rozwijanie się prostytucji, a walka z tem — to groch na ścianę.

Kobiety Grudziądzkie, jak zresztą wszędzie dzieją się na dwa odłamy: te które mają nerw społeczny i te które udają, że nie słyszą, gdy się mówi do nich: pójdźcie żać, pójdźcie żać! — i tych jest — dużo więcej.

Na czoło pracowniczek społecznych wysuwa się weteranka walk o Pomorze p. Kruszonowa, prowadząca od niepamiętnych czasów czytelnię dla kobiet. Czem ta czytelnia polska była i jest — ten tylko może sobie zdać sprawę — kto znał, choćby w przybliżeniu Pomorze i jego warunki bytowania. Te zebrania, jakie urządzała niezmordowanie przy każdej okoliczności dla sfer robotniczych, obchody, przemówienia i książka polska były w tych sferach i będą długo jeszcze — bezcenne w skutkach.

Polski Czerwony Krzyż umiejętnie i z prawdziwem umiłowaniem pracy prowadzi p. Żyborzka. Mniej może da się powiedzieć o tutejszej Nar. Org. Kob. która właśnie tu — mając ogromne pole pracy — nie wyzyskała go w całej pełni.

Istnieje prócz tego kilka innych jeszcze organizacji kobiecych, ale o nich innym razem.

Przy piśmie „Głos Pomorski”, zaczął od niedawna wychodzić dodatek „Sprawy Kobiety”, na razie jeszcze dość słaby, ale omawiający zagadnienia aktualne, a ponieważ wraz z dość poczytną ga-

zetą wciska się do wszystkich domów polskich — jest pożyteczny; prowadzi ten dodatek red. p. Marja Szmandzina.

„Głos Pomorski” okazuje ruchowi kobiecemu pewną życzliwość, czego dowodem między innymi jest fakt, że drukuje już drugą powieść, pisaną przez kobietę, (Aleks. Leśniewskiej — „Wielki Król” i obecnie Stefanji Adwentowskiej — „Syn”). Ta ostatnia mieszka w Grudziądzu.

Wielką bolączką Grudziądza jest jego teatr. W grudniu 23 roku zbrodnicza, niewykryta dotychczas ręka podpaliła świeżo odrestaurowany gmach teatru. Spłonął doszczętnie w noc po inauguracyjnym przedstawieniu.

Od tej chwili teatr poszedł na tułaczkę, do wynajętego od Niemca lokalu. Wszystkie serca uderzyły na alarm, posypały się znaczne ofiary, tak, że komitet odbudował gmach — jest on obecnie na ukończeniu.

Jednak w międzyczasie sterała się trupa w szalenie trudnych warunkach. Wszystkiego brakło — teatr przynosił deficyt. I rozpoczęła się stara śpiewka — kto winien? Wynikły starcia między magistratem, a Z. A. S. P. (Związek Art. Scen Pol.), uwieńczone zamknięciem dogorywających przedstawień. Obecnie możemy stanąć wobec wspaniałego gmachu — bez duszy.

A przecież teatr tu, na kresach zachodnich, jest artykułem pierwszej potrzeby, choćby dla przekonania wszystkich, zapatrzonych w kulturę najbliższego zachodu o potęgę twórczości polskiego geniuszu, tembardziej, że teatr niemiecki bez przerwy gra, wystawiając na chwałę Vaterlandu bardzo szeroki repertuar.

Musimy mieć teatr, który da pomorzanom arcydzieła polskie! Zaczęło się przecież tak obiecująco; mieliśmy już w Grudziądzu: Halke, Kordjana, Erosa i Psyche, Tamtego, Zaczarowane Koło, Gru-

be ryby (z Frenklem), Śluby pa-
nieńskie, Zemstę i cały szereg
innych.

Obecnie Grudziądz się bawi,
i cieszy się wiosną.

Jak tylko otworzymy teatr za-
komunikuję tę radosną wieść.

S. A.

Z życia stowarzyszeń

ZJAZD SIÓSTR CZERWONEGO KRZYŻA

Z inicjatywy p. Tarnowskiej,
przewodniczącej Sekcji Sióstr P.
Cz. Krzyża odbył się dn. 15 lutego
w świetlicy szpitala Ujazdowskiego
Zjazd Sióstr Cz. Krzyża.

Głównym przedmiotem obrad
zjazdu było rozważenie projektu
statutu Zrzeszenia sióstr, opraco-
wanego z udziałem prawników
i inicjatorce, przez wydział admi-
nistracyjny Czerwonego Krzyża.
Projekt statutu otrzymały wszyst-
kie jednostki sanitarne, zatrudnia-
jące siostry, w całym kraju; rozwa-
żaniu podlegały więc tylko te pa-
ragrafy statutu, które wywołały
reklamacje; było ich sporo, ale
rzeczniczką reklamantek (z pro-
wincji) była tylko jedna delegatka,
która tezy swojej nie mogła
obronić.

Zjazd odbył się uroczystie. Prze-
wodniczyła p. Tarnowska.

Hołd pamięci nieznanym sióstr,
które życiem opłaciły swą za-
szczytną służbę, na wniosek pułk.
Łubieńskiego, złożono przez po-
wstanie z miejsc

Przemówienia powitalne z życze-
niami dla zjazdu wygłosili: wice-
prezes Tow. Czerwonego Krzyża,
p. Kryński; przedstawiciele: depar-
tamentu sanitarnego M. S. W., ma-
jor Waga, korpusu garnizonu woj-
skowego lekarzy pułk. Kołłątaj;
imieniem: generała Suszyńskiego
pułk. Łubieński, polsko-amerykań-
skiego Tow. pomocy dzieciom, p.
Gromski, Koła polek p. Matus-
zewska.

P. Klawer ofiarował na schro-
nisko dla sióstr rekonwalescentek
dom z gruntem, położony pod Ra-
dzyminem. Wynikiem Zjazdu było
zawiązanie Zrzeszenia Sióstr P.
Cz. Krzyża.

DLA EMIGRANTEK

Wobec nadchodzącego wyjazdu
kilku oddziałów emigrantów do
Francji, Tow. ochrony kobiet za-
wiadamia osoby zainteresowane,
że pragnąc dopomóc w istnieniu
na obczyźnie młodym polkom, we-
szło w porozumienie z oddziałami
zagranicznymi Towarzystwa, i że
te oddziały przyrzekły udzielać w

razie potrzeby swojej pomocy przy-
byłym z Polski młodym kobietom.

W tym celu biuro zarządu Tow.
ochrony kobiet (ul. Czackiego 10)
udzielać będzie wyjeżdżającym emi-
grantkom dokładnych adresów miej-
scowości we Francji, gdzie znajdu-
ją się oddziały Tow. ochrony
kobiet.

PRZYGOTOWANIE DO OBRONY KRAJU

Lwowski oddział Komitetu
przysposobienia kobiet do
obrony kraju urządza w r. b.
kursy: sanitarny, gospodarczy, tele-
foniczny i oświatowy. Początek
kursów dn. 1 marca. Zajęcia odby-
wać się będą w godzinach wie-
czornych. Informacji udziela biu-
ro Czerwonego Krzyża, ul. Bie-
lowskiego 6, godz. 11—12 i biuro
Narodowej Organizacji Kobiet, ul.
Ossolińskich 11, od godz. 5—7 w.

STATUT KLUBU POLITYCZNEGO Kobiet POSTĘPOWYCH

Kl. pol. kob. postęp. nadsyła
nam wydrukowany świeżo statut
swoj. W statucie tym par. 2-gi
określa cel i działalność Klubu w
sposób następujący:

„Klub jest organizacją pozapar-
tyjną i demokratyczną.

Klub stawia sobie za cel:

1) Korzystanie z praw politycz-
nych, już zdobytych dla przeprowa-
dzenia faktycznego zrównania praw
mężczyzn i kobiet;

2) Wyrabianie polityczne kobiet
przez rozważanie spraw politycz-
nych, narodowych i społecznych,
które wysuwać będzie bieg wy-
padków dziejowych.

3) Ochronę pracykobiet przed wy-
zyskiem; żądanie równej płacy za
równą pracę, oraz udostępnienie
wszelkich stanowisk dla kobiet, po-
siadających odpowiednie kwalifi-
kacje.

4) Ochronę matki i dziecka.

5) Dążenie do wprowadzenia ety-
ki w życie polityczne i społeczne.“

Sejm

Na posiedzeniu Komisji
Emigracyjnej Sejmu dn. 20
lutego zabierała głos posł. Praus-
sowa. Komisja przyjęła wniesioną
przez nią poprawkę w następują-
cem brzmieniu:

„Sejm wzywa Rząd, aby asygnu-
jąc z pożyczki amerykańskiej fun-
dusze na akcję budowlaną, zastrzegł
w odpowiednich instytucjach kre-
dytowych 10 mil. złotych na budo-
wę domów dla reemigrantów z Nie-
miec, z bezwzględnym wyłączeniem
systemu barakowego.“

Co pisze prasa

— „Dzień Trybunalski“ (Piotr-
ków) zamieszcza p.t. „Brak Kobiety“
następujący, znamienity artykuł:

„Nasza kadłubowa Rada miejska,
cierpiąca już od dłuższego czasu
na uwiad starczy, nie ma w swym
składzie ani jednej kobiety. Dziś,
gdy kobiety zajmują najwybitniej-
sze placówki w pracy społecznej,
gdy zostają profesorami uniwersy-
tetów, ministrami, posłami, a na-
wet gubernatorami (p. Fergusson
w Ameryce,) gdy nawet nasz Sejm
posiada kilka posłanek, brak kobiet
w samorządzie miejskim i wiejskim
jest, krótko mówiąc, skandalem.
A przecież gdzież lepiej i korzyst-
niej może przydać się praca ko-
biety, jeśli nie w instytucjach
samorządowych? Szkolnictwo, do-
żywianie, opieka społeczna, higiena
i szpitalnictwo, podniesienie pozio-
mu kultury wsi i miasta, oto kilka
tylko spraw z dziedziny pracy sa-
morządowej, gdzie współpraca ko-
biet byłaby wprost nieoceniona.“

Pominiemy już fakt równoupraw-
nienia, bo to zbyt znany, dużo
omawiany, ale mało wprowadzony
w życie temat. Nam chodzi w da-
nym wypadku o co innego. Jak
już wspomnieliśmy, nasza Rada
miejaska powoli dogorywa, a życząc
jej lekkiego, ale możliwie szybkie-
go zgonu, powinniśmy już teraz
przygotować się do nowych wybo-
rów. Wskazując na fakt, że w do-
tychczasowej Radzie nie zasiada
ani jedna przedstawicielka kobiet,
apelujemy do polskiej kobiety w
Piotrkowie, aby zawczasu przygo-
towała i przeprowadziła organizację
z wyraźnym hasłem na czele „wy-
bór kobiet w stosunku
proporcjonalnym do Rady
miejskiej“.

Nie należy zasypiać sprawy, lub
odkładać jej na ostatni moment,
bo mogłoby być zapóźno. Radzimy
szczerze zorganizować się. Rola
kobiety jest nie tylko w domu, ale
także na terenie społecznym a kra-
je zachodnie dają nam przykład
dobry w tym względzie. Chyba
u nas w Piotrkowie nie zabraknie
światłych kobiet, dla których świat
nie kończy się na sukni, garnuszku
i flircie z ukochanym.“

— „Kurjer Warszawski“ № 53
w korespondencji z Wilna pisze:

„Gdy mowa o pracy kulturalnej
polskiej na kresach, nie sposób po-
minąć milczeniem tych ofiarnych
jednostek, które pracę tą prowa-
dziły potajemnie, w okresie po-
powstaniowym.“

Dzieło przez nie dokonane, jest
w skutkach swych niezmiernie do-
niosłe. Niewiele z tych cichych
bohatek — siewczyń polskości zo-

stało przy życiu, ale tym, które, sterane ciężką pracą, pędzą dziś ciężki żywot, należy się od społeczeństwa i od Państwa opieka.

Dziewięć takich weteranek znalazło w Włnie przytułek w schronisku, utrzymywanym przez Nauczycielstwo polskie. Nauczycielstwo jednak nie jest w możności rozłoczyć nad niemi takiej opieki, na jaką zasługują i do jakiej mają prawo.

W sprawie opieki nad nauczycielkami weterankami odbyło się d. 9 lutego posiedzenie, pod przewodnictwem naczelnika wojewódzkiego Wydziału pracy i opieki społecznej, p. K. Jóna, w którym wzięli udział z ramienia Dyrekcji odbudowy inż. Przygodzki, z ramienia Nauczycielstwa p. Jastrzębski, oraz przedstawiciele prasy.

Stwierdzono, że schronisko mieści się w budynku nieodpowiednim, a na wyżywienie weteranek Nauczycielstwo, poza opłaceniem służby, jest w możności łożyć tylko po 50—70 zł. miesięcznie. Innemi słowy, niezdolne dziś do pracy nauczycielki, cierpią nędzę.

Stow. Nauczycielstwa polskiego posiada własny plac, na którym zamierza wybudować schronisko. Ale jest to rzecz trudna. Projekt może być urzeczywistniony dopiero w dalszej przyszłości. Nie należy bynajmniej tego projektu zarzucać, ale niezależnie od niego, trzeba natychmiast poprawić byt tych, które już są weterankami. Trzeba przenieść je do odpowiedniego lokalu i lepiej uposażyć.

Na ten cel zarówno Rząd, jak i społeczeństwo muszą znaleźć pieniądze.

— „Wiadomości Literackie” № 8 omawiają twórczość malarską, mieszkającą w Paryżu, Alicję Halicką. „Pomiędzy Polakami osiadłymi w Paryżu — czytamy — Alicja Halicka jest jedyną artystką, której dzieła zachowały cechy polskości. Na polskość jej składają się ta sama słodycz i ten sam specyficzny rodzaj emocji, jakie cechują średnowieczną rzeźbę wybrzeży Wisły”.

— Tamże spotykamy Heleny Więckowskiej „Córka poety na tronie królewskim.” Autorka omawia niedosłę, skutkiem śmierci króla szwedzkiego, małżeństwo tego monarchy z córką Zygmunta Krasińskiego, Marią.

— „Dziennik Poznański” № 41 omawia sprawę obozów żeńskich, urządzonych przez Komitet przysposobienia kobiet do obrony kraju, niestety pod mylnym tytułem: „Przysposobienie kobiet do życia sportowego”.

— „Dziennik Narodowy” № 36 (Piotrków) zamieszcza p. t. „Ko-

bieta w walce ze złem” następującą informację:

„Sprawa utworzenia policji kobiecej, była dość długo tematem narad w Ministerstwie spraw wewnętrznych.

Obecnie sprawa ta przybiera już obrót realny.

W najbliższych tygodniach Główna Komenda policji państwowej przystąpi do zorganizowania policji obyczajowej kobiecej.

Narazie będzie zwerbowanych 50 kobiet i przydzielonych do komend okręgowych w Warszawie i w Łodzi. Komenda w Łodzi przydzielać będzie kobiety do innych miast.

Otrzymają one zupełne wykształcenie policyjne i będą podlegały wszystkim przepisom i rygorom, jakim podlega policja męska.”

— „Kurjer Polski” w dodatku „Świat Kobiety” zamieszcza artykuł dr Zofji Garlickiej p. t. „Prawo do dziecka”.

„Podniesienie kobiety na wyższy stopień cywilizacji, nadanie jej pełnych praw politycznych i społecznych — mówi autorka — napewno wywoła w wielu wypadkach ograniczenie potomstwa. Rodziny, liczące po 8, 12 i więcej dzieci staną się rzadkością. Ale obywatelka świadoma, wolna i równouprawniona może i powinna stworzyć takie warunki, aby każda kobieta, która chce mieć dzieci, mieć je mogła i aby każde dziecko, które na świat przyszło, nie tylko nie zmarło z biedy lub braku opieki, ale wychowane było pod każdym względem jaknajlepiej, aby kobieta nie była tylko maszyną, która wydaje na świat dzieci, ale na dalsze ich losy wpłynąć nie może, lecz świadomą swych praw i obowiązków matką, która chce i umie dopilnować, aby jej trud i ból na marne nie poszły, lecz mądrze i z jaknajwiększą korzyścią dla kraju wyzyskane były.

Jeśli w miejsce chylącego się ku upadkowi obfitego macierzyństwa kobieta naszej epoki potrafi dać mądre macierzyństwo — spełni swe zadanie dziejowe na chwilę bieżącą”.

W tym samym numerze spotkamy garść informacji o stadjonie dla kobiet.

Z życia prowincji

STOJESZYN — 21 lutego

Dn. 13 lutego b. r. we wsi Stojeszynie (gm. Modliborzyce wojew. Lubelskie) odbyła się w miejscowej szkole, pod kierunkiem nauczyciela, zabawa młodzieży wiejskiej.

Zsbawę tańczącą poprzedziło przedstawienie amatorskie. Tańce zakończono przed godziną 12-tą. Składki przeznaczono na bibliotekę przy szkole.

H. B.

PUSZCZYKÓW w lutym

W Puszczykowie pod Poznaniem nastąpi w maju otwarcie Domu Zdrowia dla niezamożnej młodzieży żeńskiej, która dotychczas nie mogła korzystać z pobytu letniego w tej pięknej, ale dość drogiej miejscowości. Dom Zdrowia mieścić się będzie w willi „Ostoja.” Powstaje on głównie z ofiar społeczeństwa. Będzie więc nosił charakter zakładu społecznego, wyróżniającego się taniością utrzymania.

KALISZ w lutym

Narodowa Organizacja Kobiet urządziła w sali Tow. Muzycznego Konferencję, na której, między innymi, przemawiała posłanka Ładzina. Referat jej „O sytuacji obecnej w kraju i polityce międzynarodowej” przerywany był głosami rozmowami, prowadzonymi przez niezbyt kulturalnych, młodych panów.

LISKÓW w lutym

Do Komitetu wystawy w Liskowie postanowiono zaprosić panią Suchorską z Kalisza i Rymarkiewiczową z Niedzielska. Zawiązał się tu celem pomocy przy organizacji wystawy miejscowy Komitet Włościański, złożony z 32 gospodarzy i 30 gospodyń.

Powstał projekt przeniesienia całej wystawy do Kalisza. Podczas dyskusji nad nim w łonie Komitetu, bardzo gęsto oponowała doktorowa A. Chmielińska. Projekt odrzucono. Wystawa odbędzie się w Liskowie.

BIAŁA-PODLASKA w lutym

Narodowa Organizacja Kobiet zaczęła prowadzić tu kursy kształcące w zakresie trzech oddziałów szkoły powsz. dla dziewcząt, które szkoły ukończyć nie mogły. Na kursy zgłosiło się 36 uczenic. Wykłady objęły: M. Kałuszyńska (kierowniczką), H. Moździńska, Remiszewska, Jeżewska, dr. Świerczewska, Milbratówna i Żelkowska.

Ta sama organizacja założyła tu Świetlicę dla dzieci ze szkół powszechnych nie mających w domu odpowiednich warunków do spokojnego odrabiania lekcji. Zgłosiły się tłumy dzieci.

Wiadomości Zagraniczne

ANGLJA

Konferencja Międzynarodowego Związku Równouprawnienia Kobiet.

Dn. 9 lutego odbyła się w Londynie konferencja Międzynarodowego Związku Równouprawnienia Kobiet, na której omawiane były prawa, uzyskane w ostatnich czasach przez kobiety na całym obszarze państwa angielskiego.

Jak wykazuje sprawozdanie, odczytane przez przewodniczącą, panią Corbett Ashby, we wszystkich prowincjach autonomicznych, za wyjątkiem Południowej Afryki i Newfoundlandu, kobiety uzyskały już prawa obywatelskie. Z prowincji kanadyjskich najmniej postępową jest Quebec, gdzie kobiety jeszcze nie uzyskały całkowitych praw obywatelskich i gdzie dotychczas jeszcze obowiązuje prawo, według którego cały majątek żony stanowi wyłączną własność męża.

Po wysłuchaniu wszystkich sprawozdań, powzięto rezolucję nawiązania ściślejszego kontaktu z organizacjami kobiecami całego imperium brytyjskiego.

AFRYKA POŁUDNIOWA

Kobiety farmerkami w Afryce. Pima angielskie ogłaszają listy rodzin farmerskich z Afryki południowej, nawołujące kobiety angielskie, zdrowe, silne, niezależne i rozporządzające skromnym kapitałem, do osiedlania się w tym kraju, celem prowadzenia gospodarstwa rolnego na zasadach kooperacji, grupowo po 5–6 kobiet w jednej osadzie. Niektóre rodziny farmerskie obiecują nawet nowoprzybywającym wydatną pomoc w postaci bezpłatnego zakwaterowania i utrzymania w przeciągu sześciu miesięcy, t. j. zanim kandydatki na farmerki zdążą się zagospodarować i stanąć o własnych siłach. Farmerzy podkreślają, że praca na roli jest dla kobiet najzupełniej odpowiednią, czego dowodem jest fakt, że już dość znaczna ich ilość oddaje się zawodowi farmerskiemu w Południowej Afryce z dużym powodzeniem.

FRANCJA

Wzajemna pomoc matek. „Polonia” paryska zamieszcza dłuższy artykuł o instytucji, przeznaczonej dla niezamożnych matek, a noszącej nazwę „La Mutualité Maternelle de Paris”. Jest to towarzystwo pomocy społecznej dla ochrony macierzyństwa i wspoma-

gania ubogich rodzin. Przeznaczone jest w zasadzie dla matek francuskich, dzięki jednak staraniom stowarzyszeń polskich, członkami tej instytucji zostawać będą mogły i polki, przebywające w Paryżu.

Stowarzyszenie to, założone w 1891 r., najpierw z celem działalności w Paryżu rozrosło się i rozwinęło, mając obecnie w Paryżu 45 sekcji. W okolicach Paryża 51 sekcji. Na prowincji 99 i po wsiach 9 sekcji.

Celem tego towarzystwa jest ochrona matek, niemowląt i dzieci. Głównym zadaniem jest wydawanie konsultacji dla matek w ciąży, po urodzeniu, oraz dla dzieci. Na tych konsultacjach wydawane są bezpłatnie lekarstwa, rączki, ubranka, a nawet mleko dla dzieci, do lat dwóch; ułatwiają matkom i starszym dzieciom, w lecie, wyjazd do kolonji wakacyjnych, wyrabiają matkom, czy dzieciom, wejście i leczenie się w klinikach i sanatoriach. Dają każdej matce, która regularnie przychodzi na konsultacje, 5 franków miesięcznie, przez 4 miesiące. Dają jej, gdy jest ubogą i osłabioną, pomoc na kupienie mięsa, lekarstw wzmacniających, często też ubrania dla matki. Każdej matce, członkini towarzystwa, dają, po urodzeniu się dziecka, nagrodę porodu (prime de natalité) w ten sposób rozłożoną:

50 fr., gdy się urodzi pierwsze lub drugie dziecko (ślubne czy nieślubne); 60 fr. przy trzecim dziecku; 70 fr. przy czwartym; 80 fr. przy piątym i 100 fr. przy szóstym dziecku i wyżej.

Gdy np. matka pragnie u siebie rodzić, to towarzystwo pożycza ubogiej matce potrzebną bieliznę (kilka par prześcieradeł, ręczników i t. d.). Towarzystwo opłaca służącą, która przez 9 dni, gdy matka leży, przychodzi codziennie na 3 godziny robić porządki w domu, prac, gotować dla męża i dzieci.

Gdy matka lub dziecko potrzebują bandaży, aparatu ortopedycznego, towarzystwo albo dostarcza bezpłatnie, albo za pół ceny (zależnie od sytuacji rodziny).

Towarzystwo wyrabia i ułatwia konsultacje u doktorów specjalistów dla matki i dzieci.

Matka, będąca członkiem tego towarzystwa, będzie miała pomoc w wyrabianiu należnych jej alokacji na czas ciąży, porodu, karmienia. Gdy będzie potrzeba konsultacji prawnej, towarzystwo wystara się również o poradę prawną, bezpłatnie.

Międzynarodowa opieka nad cudzoziemkami w Paryżu. Czytamy w „The Woman's Leader” sprawozdanie z działalności pani Gerdy Koppenburg, dunki, na terenie więziennictwa w Paryżu. P. Koppenburg jest członkinią

międzynarodowego Biura Opieki nad emigrantkami; praca jej nie ogranicza się jednak tylko do niesienia pomocy własnym rodaczkom. Uzyskawszy pozwolenie rządu francuskiego, zwiedza ona więzienia kobiece i porozumiewa się z licznym — niestety — zastępem, emigrantek z różnych krajów, które po przybyciu do Paryża, nie znając języka francuskiego, nie mając zajęcia ani znajomości, dostają się często w ręce policji, jako bezdomne włóczęgi. P. Koppenburg udziela pomocy tym nieszczęśliwym, a po uzyskaniu ich zwolnienia, umieszcza je w założonym przez siebie schronisku i zajmuje się wyszukaniem dla nich odpowiedniego zajęcia, względnie dopomaga im do powrotu do kraju.

W przeciągu ubiegłego miesiąca udało się jej zwolnić z więzienia św. Łazarza 15 kobiet, z tych 3 polki, 2 belgijki, 2 włoszki, 2 szwajcarki, 2 angielski, 2 dunki, i 1 węgierkę.

Kobiety przeciwko walce byków. Jak donoszą paryskie dzienniki, jeden z przedsiębiorców teatralnych powziął zamiar wprowadzenia w Paryżu igrzysk torreadorskich, na wzór hiszpańskiej walki byków. Zapowiedź tych widowisk wywołała jednak straszne oburzenie wśród kulturalniejszych sfer publiczności, a zwłaszcza wśród kobiet. Z inicjatywy paru organizacji kobiecych, w porozumieniu z Tow. Ochrony Zwierząt odbyło się zebranie publiczne, na którym postanowiono założyć manifestacyjny protest przeciwko tego rodzaju barbarzyńskim rozrywkom, mogącym się przyczynić jedynie do rozbudzania najniższych instyktów. Przemówienia dłuższe w tej sprawie wygłosiły, między innymi, dwie wybitne autorki francuskie: Colette Yver i Rachilde.

Na szpaltach prasy

— „Przegląd Współczesny” № 34 zamieszcza Marji Dunin-Kozickiej, urywek z pamiętnika, opowiadającego o bolszewikach w Kijowie.

— „Strzelec” № 3 zamieszcza dalszy ciąg wspomnień Haliny Nowackiej (Haliny Staff) p. t. „Powstanie Górnośląskie.”

— „Watra” (czasopismo młodych pisarzy słowackich) zamieściło tłumaczenie noweli W. Miłaszewskiej „Na progu.” Tłumaczem jest Franciszek Hrusowski.

— „Kurjer Warszawski” № 53 drukuje wiersz Łucji Knollówny „Jesień.”